

Mia Couto (właśc. Antonio Emilio Leite Couto) - ur. w 1955 r. w Mozambiku, to jeden z najwybitniejszych prozaików tworzących w języku portugalskim. Z zawodu biolog i ekolog, jest również aktywnym dziennikarzem. Wielokrotnie nagradzany, otrzymał m.in. Independent Foreign Book Prize w Anglii za powieść Ostatni lot flaminga, Order Stantiago de Espada w Portugalii i Order Rio Branco w Brazylii. W Polsce ukazały się dotychczas jego książki: Ostatni lot flaminga oraz Naszyjnik z opowiadań.

Taras z uroczynem

W serii Lemur prezentujemy wybitną współczesną prozę światową.

Ukazały się:

Ariel Dorfman

Niania i góra lodowa

Bruce Chatwin

Wicekról Ouidah

Anna Kavan

Lód

Julian Barnes

Arthur & George

Goncalo M. Tavares

Panowie z dzielnicy

Carlos Fuentes

Wszystkie szczęśliwe rodziny

Bruce Chatwin

W Patagonii

Tim Parks

Cleaver  
Bruce Chatwin  
Pieśni stworzenia  
Mohammed Mrabet  
Miłość za kilka włosów  
Dawid Grosman  
Patrz pod: Miłość  
Ismail Kadare  
Następca  
John Updike  
Pary  
William S. Burroughs  
Zachodnia kraina  
Han Shaogong  
Słownik Maqiao  
MIA COUTO  
Taras z uroczynem  
Z portugalskiego przełożyła  
Elżbieta Milewska  
Świat Książki  
Tytuł oryginału  
A YARANDA DO FRANGIPANI  
Projekt graficzny serii  
Anna Kłos  
Zdjęcie na okładce  
Corbis  
Redaktor serii  
Paweł Lipszyc  
Redaktor prowadzący  
Elżbieta Kobusińska  
Redakcja merytoryczna  
Jadwiga Fafara  
Redakcja techniczna  
Małgorzata Juźwik  
Korekta

Jolanta Spodar

Jolanta Rososińska

Copyright © Editorial Caminho, SA, Lisboa - 1996

All rights reserved

By arrangement with Dr. Ray-Gude Mertin, Literarische Agentur,  
Bad Homburg, Germany

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.

Warszawa 2009

Świat Książki

Warszawa 2009

Świat Książki Sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Joanna Duchnowska

Druk i oprawa

GGP Media GmbH, Póssneck

ISBN 978-83-247-0463-7

Nr 5750

Czaka, twórca imperium Żulu, do swoich morderców:

Nigdy nie będziecie rządzić tym krajem.

Będą nim rządzić jedynie zamorskie jaskółki,

te o przezroczystych uszach...

H. Junod

Mozambik ~ten ogromny taras nad Oceanem Indyjskim...

Eduardo Lourenco, żegnając Maputo w 1995 r.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sen nieboszczyka

Jestem nieboszczykiem. Gdybym miał krzyż lub marmurową płytę, widniałby na nich napis: Ermelindo Mucanga. Ale wraz ze mną umarło moje imię. Stało się to prawie dwadzieścia lat temu. Za życia byłem kimś, pochodziłem z szanowanego plemienia. Choć żyłem ucziwie, śmierć odarła mnie z wszelkiej godności. Nie wyprawiono mi tradycyjnego pochówku. Nawet nikt mi nie zgiął kolan. Człowiek powinien zejść z tego świata, tak

jak przyszedł — zwinięty w kłębek. Zmarli powinni być skromni i zajmować w ziemi jak najmniej miejsca. Niestety, mój grób wcale nie jest mały. Leżę w nim wyciągnięty od stóp do głów. Gdy moje ciało stygło, nikt nie otworzył mi dłoni. Odszedłem z zaciśniętymi pięściami, co ściąga nieszczęścia na żywych. Mało tego, nie obrócono mnie twarzą w stronę gór Nkuluvumba. My, z plemienia Mucanga, mamy zobowiązania wobec praczasów. Nasi zmarli powinni patrzeć tam, gdzie ciało i dusza pierwszej kobiety wezbrały księżycową pełnią.

Ale nie chodzi tylko o brak stosownego pochówku. Nie

7

miałem żadnego dobytku, więc pogrzebano mnie z piłą i młotkiem. Nie powinno się tego robić. Do grobu nie kładzie się żadnego metalu. Metal rozkłada się dłużej niż kości zmarłego. Co gorsza, błyszczące rzeczy ściągają przekleństwo. Przez ten nieodpowiedni ekwipunek jestem narażony na to, że dołączę do grona nieboszczyków szkodzących światu.

Powyższe uchybienia wzięły się stąd, że umarłem z dala od swoich. Pracowałem jako cieśla przy renowacji portugalskiej fortecy w Sao Nicolau, daleko od rodzinnej wioski. Opuściłem ten świat w przeddzień odzyskania niepodległości. To nawet zabawne: mój kraj narodził się spowity w narodową flagę, a ja zszedłem do grobu odziany w ciemność. Ale może i dobrze się stało, bo nie musiałem patrzeć na okropności wojny domowej.

Przez niewłaściwy pochówek stałem się xipoco, czyli zbłąkanym duchem, skazanym na wieczną tułaczkę. Pogrzebano mnie bezobrzędowo, dlatego jestem zmarłym, który rozminął się ze śmiercią. Nigdy nie stanę się xicuembo, czyli bezpowrotnie zmarłym, mogącym liczyć na pamięć i miłość żywych. Jestem jednym z tych, którym nie odcięto całkowicie pępowiny życia, i jednym z tych, których się nie wspomina. Ale to wcale nie znaczy, że włóczę

się po świecie i zatruwam ludziom życie. Pogodziłem się z zamknięciem w grobowej ciemnicy i pograżyłem w spokoju, jaki przystoi zmarłym.

Pomogło mi to, że leżę pod drzewem. W moich stronach byłaby to sklerokaria. Albo drzewo mahoniowe. Ale na terenie fortecy rośnie tylko mizerny uroczyn. Właśnie pod nim zostałem pochowany. Wonne kwiaty uroczynu sypią się prosto na mnie. Jest ich tyle, że sam pachnę jak

8  
płatek. Ale czy warto mnie tak rozpieszczać? Przecież teraz nikt mnie już nie wacha z wyjątkiem wiatru. Nikt się mną nie zajmuje. Już się z tym pogodziłem. Ludzie, nawet ci regularnie chodzący na cmentarz, właściwie nic nie wiedzą o zmarłych. Kojarzą ich ze strachem, duchami, ciemnością. Również ja sam, nieboszczyk weteran, wiem tyle co kot napłakał. Mogę tylko powiedzieć, że zmarli raczej nie mają snów. Jeśli już, to tylko w deszczowe noce. Poza tym śnią się innym. Ale skoro mnie nikt nie wspomina, to komu mógłbym się przyśnić? Tylko drzewu.

Tylko uroczyn rozmyśla o mnie po nocach.

Uroczyn rośnie na tarasie kolonialnej fortecy. To nadbrzeże widziało już niejedno. Stąd odprawiano niewolników, kość słoniową, tkaniny. Z tej skały portugalskie armaty strzelały do holenderskich statków. U schyłku czasów kolonialnych zamierzano wykorzystać fortecę jako więzienie dla rewolucjonistów walczących z Portugalczykami. Po odzyskaniu niepodległości powstał tu prowizoryczny przytułek dla starców. Wraz z przybyciem trzecio-wiekowych forteca podupadła. Potem przyszła wojna ze śmiercionośnymi polami. Ale walki toczyły się daleko od fortecy. Po zakończeniu wojny przytułek stał się niechcianym spadkiem. Było to miejsce, gdzie czas stracił wszelką barwę, zastygłe w milczeniu i samotności. W tej beznadziei ja sam, niczym cień węża, udaję nieistniejącego przodka.

Pewnego dnia obudziły mnie jakieś łomoty i wstrząsy. Ktoś dobierał się do mojego grobu. W pierwszej chwili myślałem, że to mój sąsiad kret, który oślepl, żeby widzieć w ciemności. Ale to nie było żywe stworzenie. To łopaty i motyki profanowały święte miejsce. Po co ci ludzie grze-

9  
bali w moim grobie, ożywiając tym samym moją śmierć? Wsłuchawszy się w ich głosy, zrozumiałem, że władze chcą zrobić ze mnie bohatera narodowego. Zamierzają okryć mnie chwałą. Już rozgłosili, że poległem w walce z kolonialnym okupantem. Potrzebują moich śmiertelnych szczątków. Albo raczej nieśmiertelnych. Muszą mieć bohatera, ale nie pierwszego lepszego. To ma być ktoś mojej rasy, z mojego plemienia i regionu. Żeby uśmierzyć właśnie i rozładować niezadowolenie. Zamierzają uhonorować rasę, zeszkrobać skórkę, żeby pokazać owoc. Naród potrzebuje spektaklu. A może na odwrót? Tak więc z potrzebującego stałem się potrzebnym. Dlatego rozkopują mój cmentarz na dziedzińcu fortecy. Gdy pojąłem, o co chodzi, poczułem się nieswojo.

Nigdy nie byłem wygadany, ale to nie znaczy, że jako nieboszczyk zapominam języka w gębie. Muszę wyjaśnić to nieporozumienie. W przeciwnym razie nigdy nie zaznam spokoju. Skoro umarłem, to chcę pozostać samotnym cieniem. Bez żadnych uroczystości, fanfar i werbli. Poza tym z bohaterem jest jak ze świętym. Nikt go naprawdę nie kocha. Ludzie przypominają sobie o nim tylko w razie osobistego zmartwienia lub narodowej trwogi. Za życia nikt mnie nie kochał, to i teraz obejdę się bez takiego pozoractwa.

Przypomniała mi się historia kameleona. Wszyscy chyba znają tę legendę. Bóg wysłał kameleona jako zwiastuna nieśmiertelności. Ale ten ociągał się z przekazaniem ludziom sekretu wiecznego żywota. Zwlekał tak długo, że Bóg zmienił zdanie i wyprawił innego posłańca z wręcz

przeciwną wiadomością. Ja też jestem takim niewydarzonym posłańcem: niosę bogom posłanie od ludzi. Ale zwle-

10 kam z doręczeniem. Zanim do nich dotrę, otrzymają już inną, sprzeczną z moją, wiadomość.

Nie miałem najmniejszej ochoty zostać pośmiertnym bohaterem. Trzeba temu zapobiec za wszelką cenę. Ale co może zrobić taki duch jak ja, pozbawiony czci i wiary? Rozważałem możliwość powrotu na ziemię pod postacią beztroskiego młodzieńca, jakim byłem za życia. Jeśli przenicuję się przez pępek, to przejdę na drugą stronę jako materialne widmo, słyszalne przez żywych. Ale xipoco powracający w swojej dawnej cielesnej postaci jest śmiertelnie niebezpieczny. Wystarczy, że kogoś dotknie lub zostanie dotknięty, a już posieje zamęt w sercach i ściągnie mnóstwo nieszczęść.

Poradziłem się więc swojego ulubionego zwierzęcia, pangolina. Czy jest ktoś, kto nie słyszał o magicznej mocy tego łuskowatego stworzenia, naszego halavakumy? A zatem trzeba wam wiedzieć, że ten ssak mieszka ze zmarłymi. Spada z nieba podczas deszczu. Zjawia się na ziemi, żeby przynieść światu nowiny dotyczące przyszłości. Ja też mam tu pangolina, podobnie jak za życia miałem psa. Zwija się w kłębek i służy mi jako poduszka. Spytałem mojego halavakumy, co mam robić.

— Nie chcesz zostać bohaterem?

Ale bohaterem czego, podziwianym przez kogo? Teraz, kiedy kraj zamienił się w jedno wielkie gruzowisko, potrzebują właśnie mnie, skromnego cieśli? Pangolin spytał z zaciekawieniem:

— Nie masz ochoty ożyć na nowo?

— Nie. W sytuacji, jaką obecnie mamy w kraju, wcale tego nie chcę.

Pangolin zakręcił się w koło. Goni własny ogon czy też

może dostraja głos, żebym go lepiej zrozumiał? Bo on nie rozmawia z byle kim. Stał na tylnych łapach, zupełnie jak człowiek, co zawsze mnie wzrusza. Wskazał na dziedziniec fortecy i powiedział:

- Rozejrzyj się wokół siebie, Ermelindo. Nawet w tych ruinach rosną polne kwiatki.

- Nie chcę tam wracać.

- Ale właśnie tu, wśród potłuczonych kamieni i polnych kwiatów, jest twój wiekuisty ogród.

Irytowało mnie to głędzenie łuskowca. Przypomniałem mu, że oczekuję od niego jakiejś rady, jakiegoś wyjścia. Pangolin odrzekł z wielką powagą:

- Ermelindo, musisz powtórnie umrzeć.

Powtórnie umrzeć? Przecież za pierwszym razem nie było mi łatwo rozstać się z życiem! W dodatku, zważywszy na moją rodzinną tradycję, to wręcz nieosiągalne. Na przykład mój dziadek trzyma się przy życiu w nieskończoność. Z pewnością jeszcze nie umarł. Zawsze sypiał przy niebezpiecznych zaroślach z wystawioną na zewnątrz nogą. W ten sposób świadomie narażał się na ukąszenia węży. Trucizna w małych dawkach dodaje wigoru. To jego słowa. Wyglądało na to, że ma rację, bo był coraz bardziej dziarski. Halavakuma przypominał mi dziadka — też uparty jak kozioł. Teraz również obstawał przy swoim:

- Wybierz kogoś, kto niebawem umrze.

Czyż gniazdo kobry mamby nie jest najbezpieczniejszym miejscem? Powinienem wejść w ciało kogoś, kto niebawem wyzionie ducha. Zabrać się z tym kimś autostopem w podróż w zaświaty i zatracić się w tej śmierci. Nie wydało mi się to trudne. W przytułku nie brak ludzi stojących nad grobem.

12

— To znaczy, że mam stać się upiorem i wejść w kogoś?

— Po prostu zaistniejesz jako xipoco.



— Muszę się nad tym zastanowić.

Prawdę mówiąc, już się zdecydowałem. Chciałem tylko pokazać, że jestem panem własnej woli. Gotów byłem już tego wieczoru zacząć funkcjonować jako xipoco. Innymi słowy - stać się „nieproszonym gościem”, gapowiczem w cudzym ciele. Gdybym przywdział własną postać, byłbym widzialny tylko z przodu. Z tyłu byłbym pustym miejscem. Niczym niewypełnioną dziurą. Ale zamieszkał w obcym człowieku. Przestanę być więźniem grobu i stanę się więźniem cudzego ciała. Obowiązuje mnie zakaz kontaktu z żywymi i wystawiania się bezpośrednio na powiewy wiatru. Do mojej kryjówki będzie przezierał zamglony obraz świata. Jediną dobrą stroną tej sytuacji okaże się czas, bo dla zmarłych biegnie on wczorajszymi śladami. Nie mają więc niespodzianek.

Z początku miałem wątpliwości, czy pangolin mówi prawdę. Od tak dawna nie ma kontaktu ze światem, że może po prostu zmyśla. Już tyle lat nie wychodzi na powierzchnię, że jego wyrośnięte pazury poskręcały się w spirale. Skoro nawet jego łapy tak bardzo stęskniły się za chodzeniem po ziemi, to może i w głowie mu się pokręciło? Ale potem całkowicie pochłonęły mnie myśli o bliskiej podróży do świata żywych.

Nabrałem na to takiej ochoty, że śniłem bez deszczu i w biały dzień. O czym śniłem? O tym, że mam należyty pochówek, zgodny z naszymi wierzeniami. Że umieram z brodą opartą na kolanach. Składają mnie do grobu w tejże pozycji, na piasku przyniesionym z kopca termitów.

13

To żywy piasek, cały się rusza. Potem, z delikatnością matki ubierającej dziecko, przysypują mnie ziemią. Nie używają łopat. Wyłącznie rąk. Przestają, gdy ziemia sięga oczu. Wokół mnie wtykają gałązki akacji. Całe w pąkach. Przykrywają mnie mokrą ziemią, żeby sprowadzić deszcz. Nasunęła mi się wtedy taka refleksja: żywy depta ziemię,

a martwy jest przez ziemię deptany.

Śniło mi się jeszcze, że po mojej śmierci wszystkie kobiety świata spały pod gołym niebem. Nie tylko wdowa, która zwyczajowo ma zakaz sypiania w domu. Jakby wszystkie straciły we mnie męża. Wszystkie zostały skalane moją śmiercią. Żałoba, niby gęsta mgła, spowiła wszystkie wioski. Wśród zagonów migotały kaganki, drżące dłonie okadzały kukurydziane kolby, żeby ochronić pola od uroku.

Następnego dnia, ledwie otworzyłem oczy, zacząłem trącać pangolina. Chciałem się dowiedzieć, kim jest osoba, w której zamieszkam.

— To będzie pewien przybysz.

— Ale kto?

— Przyjezdny. Zjawi się tu jutro... Szkoda, że nie pomyślałem o tym tydzień temu. Teraz byłoby już po wszystkim. Kilka dni temu zabili w przytułku ważną figurę.

— To znaczy?

— Dyrektora przytułku. Został zastrzelony.

Z powodu tego zabójstwa ma przyjechać ze stolicy inspektor policji. Jeśli ulokuję się w jego ciele, z pewnością umrę.

— Masz wejść w tego policjanta. Resztę zostaw mnie.

— Jak długo będę wśród żywych ?

14

- Sześć dni. Tyle jeszcze pożyje policjant.

Po raz pierwszy miałem wyjść ze śmierci. Ponownie, bez ziemnego filtra, usłyszę głosy z przytułku. Będę słyszeć staruszków, a oni wcale nie wyczują mojej obecności. Dręczyła mnie jednak pewna wątpliwość. A jeśli spodoba mi się bycie „nieproszonym gościem”? A jeśli w chwili powtórnej śmierci będę zanadto przywiązany do tamtego brzegu? Jestem przecież samotnym zmarłym. Nigdy nie będę niczym przodkiem. Zadziwiające było to, że nie

miałem żadnych wspomnień ze swojego życia. Pamiętałem tylko niektóre rzeczy ze świata zewnętrznego. Szczególnie utkwiał mi w pamięci zapach mokrej od deszczu ziemi. Patrząc na smugi styczniowego deszczu, zadawałem sobie pytanie: skąd wiadomo, że to zapach ziemi, a nie nieba? Ale wszelkie sprawy osobiste kompletnie zapomniałem. Czy zawsze tak się dzieje? Czy inni zmarli też tracą prywatną pamięć? Nie wiem. W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, to zamierzałem odzyskać dostęp do intymnych przeżyć. Najbardziej ze wszystkiego chciałem sobie przypomnieć kobiety, które kochałem. Przyznałem się do tego pangolinowi. On zaś dał mi pewną radę:

- Jak tylko wrócisz do życia, spal parę pestek dyni.
- Po co?
- Nie wiesz? Palenie pestek przywraca pamięć o zapomnianych kochankach.

Ale następnego dnia znów zacząłem się zastanawiać nad podróżą w życie. Pangolin jest już całkiem stetryczały. Czy jeszcze posiada jakąś moc? Przy każdym ruchu skrzypi, aż uszy bołą. Jest ciągle zmęczony z powodu ciężkiej skorupy. Pangolin bowiem, podobnie jak żółw, nosi swój dom. Dlatego strasznie się męczy.

15

Zawołałem go i powiadomiłem o rezygnacji z przejścia na stronę życia. Powinien to zrozumieć. Siła krokodyla bierze się z wody. A moja z tego, że trzymam się z dala od żywych. Nigdy nie umiałem żyć, nawet za życia. Jeśli teraz zamieszkać w cudzym ciele, to tylko narobię sobie kłopotów.

— Daj spokój, Ermelindo. Ruszaj w drogę. Dziś tam jest piękna pogoda, właśnie spadł orzeźwiający deszczyk. Powinienem tam iść i całą duszą cieszyć się zielenią. Kto wie, może nawet spotkam kobietę, w której się zakocham. Pangolin przemawiał słodkim głosem i przymilnie na mnie spoglądał. Dobrze wiedział, że to nie takie pro-

ste. Ogarniał mnie strach, taki sam, jaki żywi czują na myśl o śmierci. Pangolin roztaczał przede mną świetlane wizje przyszłości. Wszystko wydarzy się tutaj, na tym tarasie, pod drzewem, gdzie zostałem pogrzebany. Spojrzałem na uroczyn i już z góry za nim zatęskniłem. Uroczyn i ja byliśmy do siebie podobni. Czy kiedykolwiek ktoś zwilżył wodą nasze korzenie? Obydwaj byliśmy istotami karmionymi przez rosę. Pangolin też wiele zawdzięczał uroczynowi. Wskazał na taras i powiedział:

— Właśnie tu bogowie odprawiają swoje modły.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Debiut wśród żywych

Mężczyzna, w którym zamieszkałem, to niejaki Izidine Nafta, inspektor policji. Zajmuje się mniej więcej tym samym co pies — węszy winę tam, gdzie poląła się krew. Usadawiłem się w kącie jego duszy i rozglądam się z ostrożnością, żeby czasem nie namieszać mu we wnętrzu. Bo Izidine to teraz również ja. Jestem z nim, jestem w nim, jestem nim. Rozmawiam z jego rozmówcą. Pożądaj kogoś, kogo on pożąda. Śnię o kimś, o kim on śni. Na przykład w chwili obecnej lecę helikopterem w oficjalnej misji. Mój gospodarz ma wykryć zabójcę Vasta Excelencia, Mulata, który kierował domem starców w Sao Nicolau. Izidine'a czekają komplikacje i kłopoty. Razem z nim zapuszcze się na grząski grunt pozorów, złudzeń i kłamstw.

Spoglądam z chmur, wolny od zawrotów głowy. W dole widzę starą kolonialną fortecę zwróconą ku morzu. Tu właśnie znajduje się przytułek i moja mogiła. To zabawne, że z głębi ziemi wzniosłem się prosto w chmury. Patrzę przez okno. Forteca Sao Nicolau jest małą plamką

17

zajmującą kawałek świata. Mojego grobu wcale nie widać. Z góry forteca wygląda żałośnie. Wyraźnie widać gruzy, które niczym ludzkie kości osypują się w przepaść

przy skalistej plaży. Zabytek, którego piękno koloniści chcieli uwiecznić, popada w ruinę. Drewniany pomost mojej roboty rozsypuje się, bezbronny wobec czasu i bryzgów fal.

Przez długie lata wojny przytułek był odizolowany od reszty kraju. Całkowicie stracił kontakt ze światem. Przybrzeżne skały utrudniały dostęp drogą morską. Od strony lądu Sao Nicolau było otoczone minami. Można było tam dotrzeć wyłącznie drogą powietrzną. Ludzi i żywność przewożono helikopterami.

Od niedawna w kraju nastał pokój. Ale w przytułku niewiele się zmieniło. Forteca jest nadal otoczona polami minowymi i nikt nie ma odwagi tu przyjść ani stąd wyjść. Tylko jedna z pensjonariuszek, stara Naozinha, ośmiela się zapuszczać w pobliski busz. Ale ona prawie nic nie waży, więc nie może spowodować wybuchu. Gdy leżałem w grobie, nieraz przez sen czułem stopy przechodzącej po mnie staruszki. To były dla mnie prawdziwe pieśczoły, magiczny dotyk istoty ludzkiej.

Teraz przemycam się przez tę samą granicę, która wcześniej odgradzała mnie od światła. Izidine Nafta, w którym podróżuję, ma przed sobą tylko sześć dni życia. Czy przeczuwa bliski koniec? Czy dlatego tak się śpieszy, że chce zyskać na czasie? Obserwuję ruch, jakim otwiera teczkę pełną zapisanych na maszynie kartek. Na okładce widnieje napis: Akta sprawy. Jest tam zdjęcie. Izidine pyta, wskazując na zdjęcie:

- Czy to jest Vasto Excelencio?

18

- Mogę zobaczyć z bliska?

Spoglądam na naszą towarzyszkę podróży, siedzącą na tylnym fotelu helikoptera. Żałuję, że to nie w niej się ulokowałem. Marta Gimo jest taką kobietą, że tylko patrzeć i palce lizać. Do czasu morderstwa była pielęgniarką w przytułku. Wyjechała po to, by złożyć zeznania i wyjaś-

nienia w Maputo.

- Nie widzę tu żony Vasta — powiedział Izidine, błędząc palcem po fotografii.

Marta nie zareagowała. Popatrzyła w dół, na morze, jakby przejęta nagłym smutkiem. Trzymając w rękach fotografię, odrzekła:

- W tym czasie jeszcze jej nie było w Sao Nicolau.

Zamyśliła się, fotografia upadła na siedzenie. Zaczęłam przyglądać się inspektorowi i zrobiło mi się żal mężczyzny, w którym zamieszkałam - był zagubiony, pełen wątpliwości. Bo cóż on właściwie wiedział? Że tydzień temu helikopter poleciał do fortecy po Vasta Excelencia i jego żonę Ernestinę. Vasto awansował, miał objąć ważne stanowisko w rządzie. Gdy helikopter przyleciał do Sao Nicolau, Vasto już nie żył. Ktoś go zamordował. Nie wiadomo kto ani dlaczego. Jedno jest pewne, że ludzie z helikoptera zauważyli jego zmasakrowane zwłoki na skalnym falochronie. Ujrzeni go, gdy helikopter zbliżał się do fortecy.

Po wylądowaniu natychmiast zeszli po zboczu, żeby zabrać ciało. Ale gdy dotarli do skał, zwłok Excelencia już tam nie było. Szukali w pobliżu. Na darmo. Trup tajemniczo zniknął. Doszli do wniosku, że zabrały go fale. Zrezygnowali z dalszych poszukiwań i z uwagi na zapadającą noc ruszyli w powrotną drogę. Gdy przelatywali nad

19  
fortecą, znów ujrzeli zwłoki leżące na skałach. Skąd się tam wzięły? Czyżby Vasto żył? Niemożliwe. Leżał nieruchomo, miał rozległe obrażenia. Zrobili kilka okrążeń, ale helikopter nie mógł tam wylądować. Wrócili do stolicy.

Takie są fakty.

— Jesteśmy na miejscu!

Marta machała ręką w stronę grupki starców. Pilot podniesionym głosem polecił nam wsiąść natychmiast po wylądowaniu. Paliwa miał akurat tyle, żeby wrócić do sto-

licy. Furkot śmigła odbijał się echem od kamiennych murów, tumany wirującego pyłu wzbijały się w górę. Wyskoczyliśmy z maszyny. Staruszkowie kulili się jak psy. Kurczowo przytrzymywali odzienie, jakby bali się pofrunąć. Jeden z nich oburącz chwycił się masztu. Wyglądał jak flaga na wietrze.

Gdy helikopter odleciał, każdy ze staruszków zaszył się w swoim kącie. Marta obeszła wszystkich, witając się z każdym z osobna. Izidine próbował nawiązać z nimi kontakt, ale unikali go, byli dzicy i nieufni. Czego się obawiali?

Helikopter zniknął za horyzontem i Izidine Nafta poczuł się bezradny, zagubiony wśród istot, których nie sposób zrozumieć. Ten sam helikopter wróci za tydzień, żeby go zabrać do stolicy. W siedem dni musi znaleźć mordercę. Nie ma wiarygodnych źródeł informacji, żadnego tropu ani nawet ciała ofiary. Pozostają mu tylko świadkowie, których pamięć i jasność umysłu dawno umarły.

Położył torbę podróżną na kamiennej ławie. Rozejrzał się wokół i ruszył wzdłuż muru obronnego. Słońce chyliło się ku zachodowi. Kilka nietoperzy oderwało się z gzymsów i poszybowało na ślepo. Starcy skryli się w mroku

20  
swoich pokoików. Policjant niebawem zawrócił, gdyż nikłe światło dnia szybko gasło. Gdy zbliżył się do kamiennej ławy, przyłapał staruszkę grzebiącego w jego torbie. Intruz rzucił się do ucieczki. Izidine zawołał go, ale ten zniknął w ciemności. Szybko sprawdził zawartość torby. Odetchnął z ulgą — rewolwer był na swoim miejscu. — Szukasz latarki?

Policjant podskoczył z przerażenia. Nie zauważył nadchodzącej Marty. Pielęgniarka wskazała mu pobliski pokój, podając jednocześnie świecę i pudełko z kilkoma zapałkami.

— To jedyna świeca, proszę ją oszczędzać.

Policjant wszedł do ciemnego już pokoju. Zapalił świecę i wyjął rzeczy z torby. Na podłogę wypadła mała blaszka. Podniósł ją, ale to nie była blaszka. Może to kawałek drewna? Chyba raczej skorupka żółwia. Skąd się to wzięło w jego bagażu? Obrócił skorupkę w palcach i wyrzucił przez okno. Potem wyszedł.

Izidine miał pewien plan. Za dnia chciał prowadzić śledztwo w terenie, po kolacji przy ognisku wysłuchać zeznań każdego z osobna, a następnego ranka zanotować wszystko, co usłyszał w nocy. W ten sposób powstanie mały notatnik z wypowiedziami staruszków, który potem zabiorę do grobu. Rozsypie się w proch wraz z moimi szczątkami, a przebrzmiałe słowa staną się pożywieniem dla robaków.

Inspektor zastanawiał się, od kogo zacząć przesłuchania. Ale to nie on dokonał wyboru. Gdy tylko wyszedł z pokoju, pojawił się przed nim pierwszy świadek.

W półmroku wyglądał na małego chłopca. W rękach trzymał obręcz koła rowerowego. Usiadł i założył ją sobie na

21  
szyję. Izidine poprosił go o przedstawienie własnej wersji wydarzeń. Stary zapytał:

— Czy masz czas na całą noc?

Izidine uspokoił go, zapewniając, że ma do dyspozycji całutką noc. Staruszek chytrze się uśmiechnął i wyjaśnił:

— My wszyscy tutaj za dużo mówimy. A wiesz dlaczego? Bo jesteśmy samotni. Nawet Bóg nie jest z nami. Spójrz tam, widzisz?

— Co takiego?

— Te chmury na niebie. Są jak katarakty w moich oczach. To mgielne welony, które uniemożliwiają Bogu patrzenie na nas. Dlatego tu, w fortecy, wolno nam kłamać.

— Zanim zaczniemy rozmawiać o śmierci dyrektora, chciałbym wiedzieć, czy to ty wczoraj szperałeś w mojej



torbie?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zeznanie Navai

Ja? Miałbym szperać w pańskich rzeczach? Może pan spytać, kogo chce. Ani nie szperałem, ani nawet nie tknąłem tej torby. Ktoś to zrobił. Ale nie ja, Navaia Caetano. Nie powiem, kto to był. Usta przemawiają, ale nie wydają. Poza tym niewart w gębie języka, kto nim brata dotyka. Ale widziałem tego szperacza. Tak jest, widziałem. To był jakiś cień. Spadł na pańskie rzeczy jak sęp. Wzleciał w górę, zajrzał mi w oczy, a potem we wszystkie zakamarki ciemności. To nawet nie wyglądało na człowieka. Tfu! Zgiń, maro, przepadnij! Na samo wspomnienie włosy mi się jeżą ze strachu.

Teraz ja o coś zapytam: czy coś panu zginęło? Bo tu-tejsi staruszkowie to prawdziwi zabieracze. Nie twierdzą, że kradną. Po prostu zabierają. Zabierają, ale nigdy nie kradną. Zaraz to wyjaśnię. W fortecy nie mamy niczego na własność. Skoro nie ma właściciela, nie ma i kradzieży. Czy nie mam racji? Tutaj to trawa zjada krowę, a nie odwrotnie.

Zaprzeczam kradzieży, ale przyznaję się do zbrodni.

23

Powiem wprost, panie inspektorze: to ja zabiłem Vasta Excelencia. Nie musi pan dalej szukać. Ja to zrobiłem. Dodam jeszcze jedną prawdę, może nawet bliższą rzeczywistości: ten Mulat sam się zabił za pomocą moich rąk. Sam wydał na siebie wyrok, ja tylko spełniłem jego mordercze zamiary. Zrobiłem to ze szczerego serca, nie z nienawiści. Nie mam dość siły, żeby nienawidzić. Jestem jak dżdżownica — nie czuję do nikogo urazy. Niech sam pan powie, czy taka marna, ślepa dżdżownica może kogoś nienawidzić?

Za pozwoleniem pańskiej cierpliwości, zaraz to wyjaśnię. Proszę przysunąć się bliżej światła. Nie trzeba oba-

wiać się dymu ani ognia. Inaczej nie usłyszy pan moich wyznań, bo mój głos będzie stopniowo słabł. Proszę mnie wysłuchać w spokoju. Milczenie tworzy okna, przez które przeziera świat. Proszę nic nie pisać, niech pan położy zeszyt na ziemi. Niech pan zachowuje się jak kropla na szybie. Kto jest kroplą, spływa, kto jest mgłą, ulatuje. W przytułku musi pan dobrze nastawiać uszu. Bo treścią naszego życia tutaj jest mówienie.

Wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej niż praczasy. My to nazywamy ntambuluku. Wydaje się, że to odległa przeszłość, ale właśnie tam rodzą się dni, które dopiero pączkują. Śmierć Excelencia zaczęła się, zanim się jeszcze urodził. Zaczęła się wraz ze mną, dzieckiem-starcem. Na mnie, Navai Caetanie, ciąży przekleństwo. Cierpię na chorobę przedwczesnej starości. Jestem chłopcem, który zestarzał się zaraz po urodzeniu. Podobno z tego powodu nie wolno mi opowiadać swojej historii. Gdy skończę tę opowieść, umrę. A może nie? Kto wie, czy ta klątwa istotnie jest prawdziwa? Jeśli nawet jest, to i tak spróbuję,  
24

zamknę czas w kryjówce słowa. W miarę jak opowiadam, czuję się coraz starszy i coraz bardziej zmęczony. Widzi pan te zmarszczki na moich rękach? Są świeże, przed rozmową z panem nie miałem ich. Ale będę kontynuował, bez wytchnienia i bez skrótów. Jestem jak ból, który nie znalazł podatnego na cierpienie ciała, jak paznokieć, który uparcie chce wyrosnąć na odciętej stopie. Proszę wysłuchać mnie cierpliwie.

Mój wujek ze strony matki, Taulo Guiraze, powiedział mi, że zwykli ludzie mogą opowiadać historię swojego życia z lekkim sercem. Ale ja nie. W ich przypadku starzeją się tylko słowa, a w moim — to ja sam się starzeję. Dał mi pewną radę:

- Drogie dziecko, widzę dla ciebie jedno wyjście. Jeśli pewnego dnia postanowisz zostać opowiadaczem...

- Kiedy to będzie?

Słyszał o pewnym dziecku-starcu, urodzonym w innym miejscu i innym czasie. To dziecko zabawiało się opowiadaniem swojej historii, obserwując, jak słuchacze trwożnie wyczekują jego śmierci. Powtarzało się to wiele razy, a mimo to ciągle żyło.

- A wiesz, dlaczego nie umarło? Bo kłamało. To były zmyślane historie.

Czyżby wuj zachęcał mnie do kłamstwa? On jeden tylko wie. Teraz opowiem panu, narażając się na śmierć, kilka luźnych zdarzeń z mojego życia. Wszystko po to, żeby wyjaśnić, co zaszło w przytułku. Wiem, że leję sporo wody do pańskich notatek. Ale w końcu zrozumie pan, do czego zmierza moje bajdurzenie.

Zacznę od matki. Nigdy nie widziałem kobiety tak przesadnie płodnej. Trudno zliczyć, ile razy była w ciąży.

25

Mnóstwo razy rodziła dziecko. Dobrze mówię, dziecko, nie dzieci. Chodzi o to, że wydawała na świat zawsze tę samą istotę. Jak tylko powiła nowego chłopca, poprzedni umierał. Wszystkie noworodki były identyczne jak dwie krople wody. Ludzie we wsi podejrzewali, że to jakaś kara za nieprzestrzeganie dawnych praw. Co było przyczyną tej kary? Nie mówiło się o tym głośno, ale wszyscy wiedzieli: ojciec nie potrafił odmówić sobie współżycia z matką i uzbroić się w cierpliwość na okres karmienia. A tradycja nakazuje, że ciało położnicy jest nietykalne. Ojciec się do tego nie stosował. Sam wynalazł sposób na ominięcie zakazu. Gdy miał ochotę na miłość, brał poświęcony sznur. Zanim posiadał żonę, owijał sznur wokół brzucha dziecka i zawiązywał na supeł. W ten sposób mógł się kochać bez konsekwencji. Pozornie to rozwiązywało niedolę mojej matki. Ale tylko pozornie, gdyż stąd właśnie wzięło się moje nieszczęście. Teraz już wiem, że narodziłem się ze źle zawiązanego supła na brzuchu

zmarłego brata. Spokojnie, panie inspektorze, teraz już będzie o mnie. Pamięta pan, co powiedziałem? Po urodzeniu miałem wątłe ciało, wcale nie chciało mi się pić. Wyglądało na to, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, bo sześć nasion okry rozsypało się jak należy. Ułożyły je dobre duchy.

- To dziecko będzie bardziej wiekowe niż życie — powiedział.

W geście błogosławieństwa uniósł mnie i potrzymał w górze. Milczał, jakby ważył moją duszę. Kto wie, nad czym się zastanawiał. Wśród tysięcy zwierząt tylko człowiek wsłuchuje się w milczenie. Potem dziadek przytulił mnie do piersi i zaśmiał się. Ale jego szczęście było złud-

26  
ne. Ciężka na mnie kłątwa. Przekonałem się o tym przy pierwszym płaczu. Płacząc, stopniowo znikałem. Łzy odbierały mi cielesność, rozpuszczały mój organizm. Ale to nie była jedyna oznaka mojej przypadłości. Wcześniejszym sygnałem było to, że urodziłem się bez porodu.

Opuszczając ciało matki, nie sprawiłem jej żadnego bólu, byłem bezcielesny. Spłynąłem w dół brzucha i, bardziej ciekły niż krew, wysączyłem się z niej.

Matka od razu wyczuła, że jestem wysłannikiem niebios. Zawołała ojca, który stał ze spuszczonego wzrokiem. Mężczyźnie nie wolno spojrzeć na dziecko przed odpadnięciem pępownicy. Kazał zawołać znachora. Wróżbita obwąchał mnie, kichnął, zakaszał i zawyrokował:

- Ten chłopiec nie może się smucić. Każdy smutek, choćby najmniejszy, poważnie zagraża jego życiu.

Ojciec skinął głową, udając, że rozumie. Mężczyźnie nie wypada pytać, co znaczą słowa innych. Matka natomiast przyznała się, że nie rozumie.

— Chcę ci przez to powiedzieć, mamusiu, że jeśli to dziecko zapłacze, może na zawsze zniknąć.

— Wystarczy nawet jedna łza?

- Nawet jej odrobina.

Łzy świadczyły o tym, że jestem dzieckiem, zaprzeczały mojemu postarzałemu ciału. Wróżbita dostał konwulsji. Przemawiały przez niego duchy, które wcześniej jakby przenikały w głąb mojego organizmu. Donośny głos wróżbity rozbrzmiewał to chrapliwie, to śpiewnie. Raz płynął melodyjną frazą, to znów spazmatycznie się załamywał. Już to cichutki strumyk, już to rwący potok, zaskoczony własną potęgą.

Byłem nowo narodzonym niemowlęciem, ale rozu-

27

miałem wszystko, co słyszałem. Znachor zadał mi jakieś pytanie w języku xi-ndau, którego nie znałem i nie znam do dziś. Ale ktoś będący we mnie posłużył się moim głosem i odpowiedział w tym dziwnym języku. Wróżebne kości powiedziały, że powinienem nosić xi-tsungulo. Znachor obwiązał mi szyję takim właśnie, zrobionym z gałganków, naszyjnikiem. Nie wiedziałem, że wewnątrz gałganków były lekarstwa na smutek. Te czary miały mnie chronić przed działaniem czasu.

— Idź już.

Znachor dodał, że jego ostatnie słowa są jak klucze, które zostały złamane w otwartych uprzednio drzwiach. Nie służą dwa razy. Matka wyszła w milczeniu. Do domu szła zamyślona, ciągnąc mnie za sobą.

— Mamo, na co ja jestem chory?

Matka mocno ścisnęła mi rękę. Nigdy nie wyczułem w niej takiej stanowczości.

— Nie mogę o tym mówić, kochanie.

Wyglądała tak, jakby się miała rozplakać. Ale nie, po prostu odwróciła się w drugą stronę. Odeszła z opuszczoną głową. Po matce odziedziczyłem ten sposób wyrażania smutku — tylko wtedy, gdy nie płaczę, wierzę w swoje łzy. W tej sytuacji jedyną osobą, która mogła wyjawić, co mi dolega, był wujek Taulo. Brat matki wyjaś-

nił mi:

— Caetanito, ty po prostu nie masz żadnego wieku. Bo ze mną było tak: urodziłem się, wydoroślałem i zestarzałem się w jeden dzień. Z reguły życie człowieka ciągnie się latami, jest niespieszne, niczym nierozpakowana paczka, która nigdy nie trafi we właściwe ręce. Z moim życiem było na odwrót — zużyło się w jeden

28 dzień. Rano byłem raczkującym dzieckiem. Po południu dorosłym mężczyzną, sprawnym w poruszaniu się i wysławianiu. Pod wieczór miałem już pomarszczoną skórę, słabnący głos i nękała mnie tęsknota za nieprzeżyтым życiem.

Gdy minął pierwszy dzień, moja rodzina wezwała mieszkańców wioski. Zebrali się wokół naszego domu. Chłopiec taki jak ja z pewnością ma do przekazania nowiny i przepowiednie dotyczące przyszłości ziemi. W tym czasie mój wygląd nie był już zbyt pociągający.

Byłem bardziej pomarszczony niż żółw, urosły mi włosy i długie, zakrzywione paznokcie, jak u jaszczurki. Ciągłe odczuwałem głód i kiedy moja biedna matka dała mi piersi, ssałem tak łapczywie, że mała nie zemdląła. Gdy nadeszła pora następnego karmienia, wujek Taulo uniósł rękę i rozkazał zebrany:

- Niech żadna kobieta nie daje mu piersi!

Wiedział, co mówi. Pamiętał inne dziecko-starca, które ssało tak chciwie, że matka nie wytrzymała tego. Wyszła na wiór, niczym wytłoczona trzcina cukrowa, i zmarła. Przyszły ciotki, dały mu piersi i też umarły. Taulo, z wymierzoną w ludzi ręką, powtórzył:

- Niech nikt się nie waży karmić go piersią!

Moja matka odgoniła niewidzialną muchę, podeszła do mnie i wzięła mnie na ręce.

- Nie pozwolę, żeby moje dziecko cierpiało głód.

Rozchyliła capulanę\* i wyjęła pierś. Ludzie pozakry-

wali twarzy.

Capulana - prostokątna bawełniana chusta, mająca różnorakie zastososo-

wanie, między innymi jako spódnica, sukienka, fartuch, nakrycie głowy, nosi-

dełko dla dziecka (przyp. tłum.).

29

Nikt nie chciał na to patrzeć, nawet mój wujek.

A szkoda, bo nikt nie stał się świadkiem jej śmierci.

Wtedy mnie wygnali i skazali na ten przeklęty przy-

tulek. Cięży na mnie klątwa, jestem skażony przez mupfukwę, czyli ducha tych, którzy przeze mnie umar-

li. Moją chorobą jest urodzenie się. Płacę za to własnym

życiem. Martwi mnie jeszcze inne przekleństwo — gdy

skończę opowiadać swoją historię, umrę. Podobnie jak

te matki, które karmiły piersią do ostatniego tchu. Teraz

wszystko rozumiem. Poród to oszustwo. Nie rodzimy się

podczas porodu, ale znacznie wcześniej. Człowiek budzi

się do życia jeszcze przed przyjściem na świat. Podobnie

jak roślina, która, zanim obwieści światu swoją zieloność,

żyje w podziemnej kryjówce jako korzeń.

O co chodzi, inspektorze? Słyszysz pan tę sowę? Niech

się pan nie boi. To moja pani, należą do tego ptaka. Je-

stem pod jego opieką, żywi mnie. Co noc przynosi mi

resztki jedzenia. W panu budzi strach. Rozumiem to. Po-

hukiwanie sowy odbija się echem w pustce naszej duszy.

Ciarki przechodzą na myśl, że są w nas otwory, przez któ-

re się ulatniamy. Ja też się przedtem bałem. Ale teraz po-

hukiwanie sowy ogrzewa moje noce. Niebawem pójde

sprawdzić, co mi dziś przyniosła.

Mówi pan, że się pogubiłem. Wcale nie. Ja tylko wyjaś-

niam. Gdy opadną pana wątpliwości, dojdzie pan do

wniosku, że to stary Portugalczyk, Domingos Mourao,

zabił dyrektora. Jeszcze się pan z nim nie widział? Jutro

się pan przekona. Po rozmowie z tym białym zadecyduje

pan. Ale ostrożnie, inspektorze, bo to ja zabiłem Vasta Excelencia. Taka jest prawda. Portugalczyk przedstawi swoje racje, uzasadniające zgładzenie Mulata. Jednak

30  
moje racje są o wiele poważniejsze. Sam pan zobaczy. Wracam już do swoich wspomnień.

Gdy znalazłem się w przytułku, zrozumiałem, że to mój ostatni i ostateczny dom. Byłem wykończony, przez wiele dni nie miałem nic w ustach. Przymierałem głodem i nie umarłem chyba tylko dlatego, że pozostał ze mnie tylko cień i śmierć mnie przeoczyła. W tym czasie zawarłem pakt z sową. Zaczęła mi dawać resztki ze swoich posiłków. Później, znacznie później, usłyszałem coś, co obudziło we mnie nadzieję.

W tym czasie w przytułku zjawiała się staruszka imieniem Naozinha. Niebawem rozeszły się słuchy, że jest czarownicą. Coś mi zaświtało w głowie. A nuż mogłaby mi przywrócić prawdziwy wiek? Pogadałem z nią. Z początku czarownica utrzymywała, że nie ma takiej mocy. Moja nadzieja prysła.

Jednakże pewnego dnia, bez żadnych wyjaśnień, zmieniła zdanie. Zawołała mnie i przyrzekła, że przygotowuje specjalny obrzęd, by wypędzić mupfukwę, czyli złego ducha, który mnie prześladowuje. Potrzebne będzie jakieś zwierzę, bo ziemia musi zostać zroszona krwią. Ale skąd ja tu wytrzasnę jakieś zwierzę? Pogadałem z sową i zamówiłem żywą sztukę. Tejże nocy dostałem konającą czaplę. Poderżnęliśmy jej gardło, ale krwi było tak mało, że nie spłynęła na ziemię. Musieliśmy zebrać krew tuż przy szyi i można było rozpocząć obrzęd. Naozinha powiedziała, że duch mojej matki żąda zadośćuczynienia.

— Ale jakiego? — spytałem.

Matka przemówiła głosem czarownicy. Odnajdę spokój tylko wtedy, gdy sprawię, że i ona zazna spokoju.



Mam się zachowywać jak prawdziwe dziecko. Bawić się cały dzień, wypełniać radością starą fortecę, żeby słyszała moje chłopięce igraszki i zaznała pociechy jako matka. Od tej pory korytarze przytułku rozbrzmiewały moim śmiechem i okrzykami. Prawie nieustannie byłem małym chłopcem. Za dnia dominowała we mnie dziecięcość. Nocą jednak ciążyła mi starość. Gdy kładłem się do łóżka, przywoływałem innych starsuszków, żeby opowiedzieć im kawałek swojej historii. Moi towarzysze byli świadomi śmiertelnego niebezpieczeństwa płynącego z tych opowieści. Pod koniec jakiegoś odcinka mogła mnie dopaść kostucha. Mimo to prosili, bym nadal opowiadał. Gadałem i gadałem, aż wreszcie mieli dość.

— Do licha, ten typ nigdy nie umrze...

— Zabraknie historyjek, zabraknie nas, a on wciąż będzie się trzymał przy życiu...

— Z pewnością zmyśla. Ciągłe mija się z prawdą.

Istotnie zmyślałem. Ale nie zawsze i nie wszystko.

Pewnej nocy, po długiej gadaninie, poczułem, że opadam z sił. Pomyślałem sobie, że to koniec. Zobaczyłem gwiazdy, jakich nie widziała żadna noc. Z moich ust nie padło nawet ani słowo. Czyżbym już umarł?

Nie, jeszcze oddychałem. Najdziwniejsze było to, że w miarę jak zbliżałem się do ostatecznej granicy, moje ciało stawało się coraz gładsze, starość ustępowała. Moje życie dobiegało kresu, a ciało rozkwitało jakby odrodzone?

Starzy spojrzeli po sobie. Może tym razem powiedziałem prawdę? Niektórzy zaczęli płakać. Początkowo z niecierpliwością czekali na spektakl umierania. Teraz mieli wyrzuty sumienia, gdyż umierający nie był już jednym

z nich. To było dziecko, mały berbeć. Ten chłopiec nie mógł umrzeć. Nagle zatęsknili za moimi psotami. By-

łem jedynym promykiem światła w ciemnych korytarzach. Kto teraz będzie bawił się obręczą? Kto będzie na korytarzach wyprawiał dzikie harce hałaśliwym kołem rowerowym ?

Widząc, że umieram, powzięli decyzję. Trzeba natychmiast odprawić obrzęd z prawdziwego zdarzenia. Trzeba prosić o ratunek dla tego chłopca, czyli dla mnie, Caetana Navai. Przygotowali coś w rodzaju bębnów, odszukali pochowane gdzieś capulany. Wszystko po to, by udobruchać siedzącego we mnie ducha.

— Nie do wiary, że mamy aż tyle rzeczy!

Z braku prawdziwych bębnów posłużyli się garnkami i rurami kanalizacyjnymi. Okazuje się, że smutek potrafi zagrać na wszystkim. Poprzedniej nocy zrobili bimber. Odpowiednie produkty ukradli ze spiżarni przytułku. Przez wiele godzin świętowali, pijąc bez umiaru. Od czasu do czasu zaglądali do mojego łóżka. Jeszcze się trzymałem. Potem znów zaczęli tańczyć i śpiewać. Nawet białego Portugalczyka poderwali do tańca. Czarownica położyła obydwie dłonie na jego twarzy i powiedziała:  
— Chcę wiedzieć, jakim językiem przemawia twój demon.

To rzekłszy, Naozinha poleciała wszystkim, by nadal tańczyli. Później z ręki do ręki zaczęły krążyć ziołowe skręty. Bijące z nich aromaty rozplływały się w powietrzu i uderzały do głowy.

— Widzę morze — powiedział biały.

Nie dziwota, Portugalczyk zawsze widział morze i tylko morze.

33

Czarownica, wchodząc w trans, zaczęła bezładnie machać rękami. Miało się wrażenie, że jej ciało oddziela się od duszy. Ustami Naozinhi zaczął przemawiać głos płynący z otchłani. Nakazałem wszystkim, by zamilkli.

— Cicho, bo nic nie słyszeć!

— Ten duch mówi po portugalsku.

— To ma być portugalski? Trudno coś zrozumieć...

To był język portugalski, tyle że z dawnych czasów.

Przemawiał nim duch białego żołnierza, który zmarł na podwórku fortecy. Ów Portugalczyk, wyjaśniła czarownica, ciągle patrzył w morze, czekając na statek.

— Zupełnie jak ty, Domingos. Też bez przerwy wpatrujesz się w morze.

— Ale nie czekam na żaden statek.

— Tak ci się tylko wydaje, staruszk.

— Bądźcie cicho, posłuchajmy ducha.

— Słusznie, chcemy wiedzieć, kim jest ten żołnierz.

Ów żołnierz zachorował, prawie że zwariował. Od ciągłego wpatrywania się w morze jego oczy zmieniły kolor. Ostatnią rzeczą, jaką widział, była nadciągająca burza i biała samotna czapla. Potem stracił oczy. Zostały tylko dwa oczodoły, dwie groty, w które nikt nie ośmielił się zajrzeć. Umarł bez pogrzebu, bez pożegnania...

Nagle rozległ się huk. Zupełnie jakby powróciła wojna.

Tańce ustały, wszyscy z niepokojem spojrzeli na Naozinhe. Uspokoiła nas - to tylko chmury się zderzyły. Spojrzałem w niebo, ani śladu chmur. Na gwiazdzistym nieboskłonie dostrzegłem tylko śmigły lot drapieżnego ptaka. Majestatycznie przemierzał świetlistość nocy.

Czyżby to była sowa? Ale gdzież się ulotniły te chmury?

34

Rozległ się następny huk, tym razem najwyraźniej ziemski. Zobaczyłem, że to dyrektor kopnął gąsior z samogonem. Napój wylał się na ziemię, wszystko się zmarnowało. Nawet dla przodków byłoby tego za dużo.

— Co to za burdel? Co tu się wyprawia?

Nasza uroczystość została gwałtownie przerwana przez Vasta Excelencia. Dyrektor wrzeszczał, wymyślał nam od najgorszych.

— Nie mówiłem, że w przytułku te błazeństwa są zabronione?

Starzy wyjaśnili, że ceremonia ma na celu ratowanie mojego życia. Mulat popatrzył na mnie ze zdumieniem. Podeszedł do łóżka, chcąc z bliska upewnić się co do mojego wieku. Gdy spojrział mi prosto w oczy, zachwiał się, jakby dostał obuchem w łeb. Potrzęsnał głową, przetarł powieki, nie dowierzając własnym oczom. Potem odwrócił się tyłem i oświadczył:

— Albo zaraz sprzątniecie ten bajzel, albo wszystko spalę, wszystko, napitki, starców i dzieci.

Potem wyszedł. Starzy spojrzeli po sobie, bardziej rozbici niż gąsior z samogonem. Naozinha wstała i podeszła do mojego łóżka. Uniosła prześcieradło i zaczęła nacierać mi nogi olejami.

— Odzyskasz siły — powiedziała.

Poczułem ciepło rozchodzące się po kościach. Po jakimś czasie czarownica nakłoniła mnie do wstania z łóżka.

— Wstań, Navaia. Zrób, co trzeba...

Wstałem bez trudu. Jakby popychała mnie jakaś niewidzialna ręka. Zebrani zachęcali mnie:

— Przecież jesteś dzieckiem, masz młodzieńczą siłę.

35

- Tak, Navaia, idź i zabij tego sukinkota.

Zamknąłem oczy. Czyżby śmierć oszczędziła mnie tylko po to, bym kogoś zabił? Rozwarłem zaciśnięte palce. Podtrzymywany przez starców, dowlokłem się do drzwi. Oblała mnie księżycowa poświata. Dopiero wtedy zobaczyłem, że w prawej dłoni trzymam mściwy błyszczący sztylet.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Drugi dzień wśród żywych

Następnego ranka czekałem, aż Izidine ponownie się obudzi. Byłoby to jego drugie przebudzenie, gdyż już

wcześniej Marta poderwała go z łóżka. Przyniosła mu filiżankę herbaty. Zaspany policjant wypił ją duszkiem. Koszmarne sny, karaluchy i szczury sprawiły, że był skołowany. Martę rozśmieszył jego wygląd i wyszła, by jeszcze trochę wypoczął. Policjant natychmiast zasnął. Tej nocy bardzo źle spał. Czyżby podejrzewał, że jestem w nim? To mało prawdopodobne, bo jestem lżejszy niż mgła na pajęczynie.

Po paru godzinach Izidine znów się obudził. Przed wyjściem patrzył przez chwilę na porozrzucone na stole ubranie. Czyżby zostawił je w takim nieładzie? Nagle, obok kapelusza, zobaczył tę samą skorupkę, którą wyrzucił poprzedniego wieczoru. Wstał, wziął ją w rękę i schował do kieszeni marynarki. Potem przystąpił do wykonania wcześniej nakreślonego planu: uda się na plażę i obejdzie wielkie skały obmywane przybojem. Tam właśnie znaleziono ciało.

37

Odpyw odsłonił duże połacie piasku i skał. Rozlegał się smutny krzyk mew. Niebawem dadzą się słyszeć ptaszki „chori-chori”, wzywające przypyływ. Morze wzbiera i opada pod dyktando ptaków. Jakiś czas temu to ptaki „tchó-tchó-tchó” nakazały wodom, by się cofnęły. Zabawne, że tak gigantyczna istota jak ocean korzy się przed maluteńkimi ptaszkami.

Przed laty przy skalistej rafie znajdowała się przystań. To właśnie ja, Ermelindo Mucanga, zbudowałem ten pomost. Śmierć przerwała moją pracę. Niepodległość wstrzymała dalsze roboty. Potem morze zemściło się na niedokończonym porcie. Zostały tylko pojedyncze głazy i pale uparcie unoszące się na falach.

Izidine usiadł na mokrym piasku. Szum fal pomagał mu zebrać myśli. Wydawało się oczywiste, że zbrodnię popełniło kilka osób. Trzeba wielu rąk, by przenieść ciało kogoś takiego jak Vasto Excelencio. A kto wie, może zo-

stał zabity właśnie tu, przy samych skałach?

Spojrzał w stronę falochronu i zobaczył Martę. Śledziła go, chodziła za nim krok w krok. Pielęgniarka zachowywała się tak, jakby go podejrzewała o jakieś ukryte zamiary. Tego ranka, podając policjantowi herbatę, wykręciła się od towarzyszenia mu.

— Nie chcę robić kłopotu. Sam dla siebie jesteś wystarczającym kłopotem...

— Przepraszam, ale nie rozumiem...

Marta ugryzła się w język i zamilkła. Obróciła się w koło, jakby chcąc odwlec wyjaśnienie. Wreszcie powiedziała, strzepując niewidoczny pyłek z koszuli inspektora:

— To, co znajdujemy w życiu, nie jest wynikiem poszukiwań.

38

To znaczy, że według niej policjant powinien po prostu siedzieć z założonymi rękami. To nie jego świat i powinien go uszanować. Powinien zostawić wszystko w spokoju, nawet przemilczenia i wykręty. Izidine'a nękały wątpliwości. Poprzedniej nocy Navaia Caetano już dostatecznie namącił mu w głowie. Poradził, by wsłuchiwał się w szum morza, bo oprócz plusku fal usłyszy może ludzkie krzyki.

— Krzyki? Czyje krzyki? — spytał Izidine.

— Zmarłych - odparł Caetano.

Nic więcej nie dodał. Policjant nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, gdyż Marta Gimo sugerowała mu zupełnie co innego.

— Wczoraj ktoś mi poradził, żebym słuchał. A ty wręcz przeciwnie.

— A czego miałbyś słuchać?

Powtórzył zagadkową radę dziecka-starca. Co Caetano chciał przez to powiedzieć? Pewnie Marta mogłaby mu to wyjaśnić. Ale pielęgniarka uśmiechnęła się i zaprzeczyła ruchem głowy. Droczyła się z nim. Izidine powtórzył

swoją prośbę. W końcu się zgodziła. Caetano chciał mu dać do zrozumienia, że w huku fal kryją się głosy rozbitków, rybaków, którzy utonęli, i kobiet, które popełniły samobójstwo. Wśród tych lamentów powinien usłyszeć również krzyki Vasta Excelencia. Policjant uśmiechnął się lekceważąco. Marta przywołała go do porządku:

— Ależ ty jesteś arogancki! Powinieneś wiedzieć, że każdego ranka zmarły wykrzykuje imię mordercy.

— Nie wierzę.

— Każdego ranka zmarły wielkim głosem woła o pomstę.

39

Teraz, siedząc na brzegu morza, inspektor przypomniał sobie słowa pielęgniarki i uśmiechnął się. Może Marta ma rację? Uczył się w Europie, do Mozambiku wrócił wiele lat po proklamowaniu niepodległości. Długa nieobecność uszczupliła jego wiedzę o kulturze, językach i drobnych rzeczach, które kształtują duszę narodu. Zaraz po powrocie zajął się pracą biurową. Jego życie codzienne ograniczało się do małego skrawka Maputo. Niewiele ponad to. W terenie uważano go za obcego.

Wstał i otrzepał piasek. W jego geście widoczna była jakaś złość, jakby chciał otrząsnąć się nie tylko z piachu, ale i ze wspomnień. Chodząc po skałach, znalazł karabin. Nawet nie był schowany. Wyglądało na to, że wyrzuciły go fale. Przeszukał pobliskie skały. Znalazł na nich kawałki drewna, przypominające resztki tratwy. Jakaś łódź, tutaj? Skąd by się tu wzięła? Przecież wszyscy twierdzili, że tutejsze wody są niezeglowne. Nasunęły mu się słowa starego Navai:

- W tym morzu jest więcej zdrady niż fal.

Poprzedniej nocy Navaia opowiedział mu dziwną historię. Kiedyś pewien starzec próbował stąd uciec przez morze. Zbudował tratwę i ruszył w drogę. Ale morze i skały, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zamie-

niły się rolami. To, co uciekinier brał za fale, zniecka przemieniało się w twarde kamień. Natomiast skały się rozpuszczały, rozplywały. Tratwa się rozbiła. Marzenia niedosłego uciekiniera spełzły na niczym.

Czyżby Navaia zmyślił tę historię? Tak czy inaczej, tutejsze morze nie zachęcało do podróży. A może historia o ucieczce jest prawdziwa? Może to są resztki tej niefortunnej tratwy? Inspektor zmarszczył z powątpiewaniem

40  
brwi. Coś przed nim ukrywali. Tak się zamyślił, że nie zauważył nadchodzącej nocy. Pośpiesznie ruszył w drogę powrotną. Na dzisiejszy wieczór umówił się z Portugalczykiem, Domingosem Mourao. Czekał na niego na dziedzińcu, lecz stary się spóźniał. Policjant usiadł na murach obronnych fortecy. Szum oceanu przenikał go do głębi. Nagle wydało mu się, że z plaży dochodzą ludzkie głosy.

— To nie ludzie hałasują.

Z ciemności wyłoniła się Marta spowita w capulanę. Podeszła i stanęła obok niego. Obydwoje wyglądali jak milczący strażnicy fortecy.

— Czy to morze tak szumi?

— Nie, to po prostu odgłosy nocy. Tam, gdzie mieszkaś, od dawna nie wsłuchujecie się w noc.

Usiadła, przykrywając nogi capulaną. Zaczęła cicho nucić starą kołysankę. Izidine przeniósł się myślami gdzieś daleko, poza to, co namacalne.

— Matka śpiewała mi tę samą melodię.

Ale Marty już nie było. Zniknęła jak cień. Policjant został jeszcze jakiś czas, próbując rozróżnić dźwięki przyboju. Powieki zaczęły mu się kleić i zasnął. Obudził się po paru minutach. Dotknęła go czyjaś ręka. Był to stary Portugalczyk.

— Niech pan tu przyjdzie i popatrzy na morze z góry! Domingos Mourao usadowił się na kamiennej ławie



obok uroczynu. Z oczyma utkwionymi w horyzont zapytał:

— Proszę wybaczyć niedyskrecję. Czy pan urodził się nad morzem?

Izidine zaprzeczył. Portugalczyk powiedział, że słyszał  
41

o dalekim kraju, gdzie starcy siadywali nocą wzdłuż plaży. Trwali w milczeniu. Morze podchodziło i wybierało tego, którego miało zabrać.

— Kto wie, może dzisiejszej nocy to ja zostanę wybrany?

Stary Portugalczyk zamknął oczy i na jakiś czas pogrążył się w milczeniu. Potem zaczął mówić.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zeznanie starego Portugalczyka

- Ależ to morze jest piękne!

Tak powiedziałem owego popołudnia. Mówiłem sam do siebie? Nic podobnego, rozmawiałem z falami tam, w dole. Jestem Portugalczykiem, nazywam się Domingos Mourao. Tutaj przechrzcili mnie na Xidimingo. Lubię to imię, bo uwalnia mnie od udręki pamiętania, kim jestem. Pan inspektor prosi, bym opowiedział o niedawnych wydarzeniach. Chętnie to zrobię. Zawsze wszystko działo się tu, na tym tarasie, pod tym drzewem, pod uroczynem.

Moje życie przesiąkło wonią kwiatów uroczynu. Są białe, tylko dno kielicha mają żółte. Teraz nie czuje się ich zapachu, bo to nie okres kwitnienia. Pan jest czarny, inspektorze, więc trudno panu zrozumieć, czemu tak bardzo pokochałem te drzewa. W waszym kraju nie ma innych drzew tracących liście. Tylko uroczyn zrzuca liście, jakby przed zimą. Gdy przyjechałem do Afryki, przestałem zauważać jesień. Miałem wrażenie, że czas stoi w miejscu, że zawsze jest ta sama pora roku. Jedynie uroczyn przywracał mi poczucie upływu czasu. Teraz nie ob-

chodzi mnie już, czy dni mijają, czy nie. Zapach tego tarasu leczy tęsknotę za dawnymi laty, kiedy moje życie w Mozambiku było całkiem inne. Cóż to były za czasy! Dwadzieścia lat temu, kiedy nastąpiła niepodległość, moja żona repatriowała się. Wróciła do Portugalii. Zabrała ze sobą syna, wtedy już w wieku poborowym. Na pożegnanie ostrzegła mnie:

— Jeśli zostaniesz, nie chcę cię więcej widzieć.

Czułem się tak, jakbym ugrzązł w bagnie. Straciłem siłę woli, moje uczucia pogrążyły się w trzęsawisku. Owszem, mogłem wyjechać z Mozambiku. Ale nie po to, żeby zacząć nowe życie. Czy ja jestem jakimś wyrzutkiem?

Coś panu opowiem. Kiedyś usłyszałem historię, która zdarzyła się dawno temu, za życia Vasca da Gamy. Podobno był wtedy pewien stary Murzyn, który chodził po plażach, szukając szczątków statków. Zbierał resztki wraków i zakopywał je. Kiedyś jedna z desek, którą przysypał ziemią, puściła korzenie i ożyła jako drzewo.

Otóż, panie inspektorze, to ja jestem tym drzewem. Jestem z deski pochodzącej z innego świata, ale tu jest moja ziemia, tu zapaściłem korzenie. Tutejsi czarni codziennie mnie sieją w tej ziemi. Myśli pan, że próbuję pana zagaść, plotę trzy po trzy? Nic podobnego. Powoli zbliżam się do sedna, niczym żuk, który dwa razy obejdzie dziurę, zanim się w niej schowa. Proszę wybaczyć moją portugalszczyznę, już sam nie wiem, jakim językiem mówię, całkiem niegramatycznie, po tutejszemu. Nie tylko moja mowa się odmieniła. Przede wszystkim myślenie. Nawet stary Nhonhoso martwi się, że tak bardzo się odportugalszczyłem. Kiedyś powiedział mi:

— Ty, Xidimingo, należysz do Mozambiku, a ten kraj

44

należy do ciebie. To nie ulega wątpliwości. Ale czy nie przeraża cię, że zostaniesz tu pochowany?

- Tu, to znaczy gdzie? - spytałem.

- W Mozambiku.

Wzruszyłem ramionami. Tu, w pobliżu przytułku, nie ma żadnego cmentarza. Ale Nhonhoso nalegał:

- Przecież w tym kraju nie ma duchów twoich przodków. Jeśli zostaniesz tutaj pochowany, nie zaznasz pośmiertnego spokoju.

Co za różnica — żywy czy martwy — i tak nie mam spokoju. Tutaj nasłucha się pan różności o starym Portugalczyku. Opowiedzą panu, co to on nawyrabiał. Między innymi, że podpaliłem sawannę, którą widać za nami. To nawet prawda, podpaliłem ją. Ale miałem swój powód i zrobiłem to z własnej woli. Gdy patrzyłem na tyły fortecy, jak okiem sięgnąć widziałem tylko sawannę. Te bezkresy wyzwalały we mnie żądzę spalenia wszystkiego na popiół.

Dziś już wiem, że Afryka kradnie nam jestestwo. Ale jest to przewrotna kradzież, gdyż w zamian wypełnia nam duszę. Dlatego do dziś mam ochotę podpalać sawannę. Żeby przestała być wieczna. Żeby przestała we mnie tkwić. Jestem do tego stopnia wygnańcem, do tego stopnia zesłańcem, że nie odczuwam już oddalenia od czegokolwiek ani rozłąki z kimkolwiek. Oddałem się temu krajowi jak ktoś, kto przyjmuje nową religię. Teraz wystarczy mi być kamieniem na tej ziemi. Ale nie pierwszym lepszym, którego nie tknie ludzka stopa. Chcę być kamieniem przydrożnym.

Już wracam do swojej historii, proszę się nie martwić.

Na czym to ja skończyłem? Na pożegnaniu z byłą żoną.

45

No właśnie. Po jej wyjeździe zaczęły się rozruchy, zamieszanie. Stwierdzam ze smutkiem, że Mozambik, który kochałem, umiera. Nigdy więcej nie wróci. Został mi tylko ten nadmorski zakątek, gdzie znalazłem schronienie.

Moim krajem jest ten taras.

Od wielu lat snuję się po tej małej ojczyźnie niczym

rozlewne ujście rzeki o sennym nurcie i łagodnych zakolach. Wiodę wyrafinowany żywot króla zasłuchanego w szum fal niby w kołysankę z dziecinnych lat. Czasem tylko przeszkadzają mi zmęczone nogi. Natomiast oczy, kompensując starcze bóle, jaskółczym lotem patrolują horyzont.

Wie pan, drogi inspektorze, w Portugalii mamy kawał oceanu i trochę morza. A ja tak bardzo kocham morze, że nawet lubię mieć mdłości. Jak to robię? Raczę się tradycyjnymi miejscowymi napitkami, aż się ululam. Kiedy chwieję się na nogach, wydaje mi się, że jestem na pełnym morzu i spaceruję po pokładzie. Z tego samego powodu przesiaduję na tarasie, pod uroczynem - do upojenia rozkoszuję się bezkresem morza. Wiem, że to niebezpieczne, bo jeśli ktoś myli wodę z niebem, niechybnie pomyli życie ze śmiercią.

Mówię za dużo o morzu? Pozwoli pan, że to wyjaśnię. Chodzi o to, że ze mną jest jak z łososiem. Żyję w morzu, ale zawsze wracam tam, skąd pochodzę, płynąc pod prąd, przeskakując wodospady. Wracam na tarło do rodzinnej rzeki, by potem umrzeć. Pomimo to jestem rybą, która straciła pamięć. Kiedy płynę w górę rzeki, wyobrażam sobie, że mam jakieś inne źródło. Wtedy umieram z tęsknoty za morzem. Jakby morze było łonem, jedynym łonem, które jeszcze daje mi życie.

46

Chyba zanadto się rozgadałem. Proszę mi wybaczyć, ale od dawna nie żyję wśród ludzi, którzy mają pilne sprawy i obowiązki. Tutaj nikt nie ma żadnego zajęcia. Bo co tu można robić? Zawsze powtarzam mojemu przyjacielowi Nhonhosowi: jeszcze za wcześnie, by coś robić, czekamy więc, aż będzie za późno. W tym przytułku zawsze byłem jedynym białym. Pozostali to Mozambijczycy. Sami czarni. Jedynym naszym zajęciem jest czekanie. Ale na co? Powinien pan dołączyć do tego grona próżniaków.

Niech się pan niczym nie przejmuję i zapomni o zegarku. Wracam już do tematu. Zaczę od tego, na czym skończyłem, a więc od tarasu, na którym jesteśmy.

Pewnego popołudnia wydało mi się, że po raz ostatni widzę ten niezmierny błękit. Ostatnia mewa, ostatnia chmura, ostatnie westchnienie.

— To znaczy, że czas umierać.

Tak sobie pomyślałem, gdyż tutaj człowiek gaśnie, umierając tak powoli, że nawet sobie tego nie uświadamia. Czymże jest starość, jeśli nie śmiercią odbywającą staż w naszym ciele? Wdychając słodką woń uroczynu, zazdrościłem morzu, które z racji swojego bezmiaru może mieć nadzieję na dopływ świeżej wody. Prowadziłem tę rozmowę z samym sobą. Jak człowiek jest stary, to bez przerwy coś mówi. Gromkim głosem poprosiłem Boga, aby zabrał mnie z tego świata.

— Panie Boże! Chcę dziś umrzeć!

Te słowa jeszcze dziś przyprawiają mnie o dreszcz. Ale wtedy czułem się spokojny i szczęśliwy, nie dokuczał mi żaden ból. Jednak śmierć nie zależy ode mnie. Moja pierś falowała w rytmie morza, jakby pamiętała czas, który istnieje poza czasem, tam, gdzie wiatr rozwija swój ogromny

47

spiralny ogon. Szczęśliwi są ci z moich przyjaciół, którzy wierzą, że każdy dzień może być dla nich trzecim dniem zmartwychwstania.

Naprawdę bardzo chciałem umrzeć tego popołudnia, pod tym bezchmurnym i wolnym od mew niebem. Nie tylko morze budziło we mnie pragnienie przejścia do wieczności. Również kwiaty uroczynu. Jakbym się już zbratał z ziemią. Jakbym to ja sam zakwitł.

— Jestem pewien, że dzisiaj umarłbym bezboleśnie — powiedziałem na głos.

— Uważaj, bo jeszcze spełnię twoje życzenie.

To już nie były moje słowa. Nie zauważyłem, że nad-

szedł Vasto Excelencio, najgorszy ze wszystkich skurwysynów. Był to wysoki, dobrze zbudowany Mulat, zawsze starannie ubrany. Roześmiał się, unosząc w górę ramiona.

— Naprawdę chcesz umrzeć, staruchu? A może już umarłeś, tylko nikt cię o tym nie poinformował?

Te słowa zraniły mnie bardziej niż ukąszenie dzikiego zwierza. Mulat mówił dalej, wyraźnie chcąc mnie upodlić.

— Nie bój się, stary nieudaczniku. Jutro stąd wyjeżdżam.

Byłem zdumiony, stropiony. Ten drań zostawia nas, ot tak sobie? Jak zamierza stąd wyjechać?

— Nie wierzysz?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Vasto obszedł dookoła pień uroczynu niczym toreador taksujący szyję byka.

Robił wszystko, by wytrącić mnie z równowagi.

— Wiesz, co ci jeszcze powiem, staruchu? Zabieram ze sobą żonę. Ernestina jedzie ze mną. Słyszysz? Co ty na to?

— Niby na co?

48

- Jeśli zabraknie Ernestiny, to kogo będziesz podglądał? Co z tobą będzie?

Pohamowałem się. Vasto próbował mnie doprowadzić do wściekłości i wywołać kłótnię. Chciałem tego uniknąć.

Wreszcie wstał, złapał mnie za przeguby dłoni i mocno szarpnął.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego zawsze źle cię traktowałem? Ciebie, upadłego anioła z portugalskich niebios? Udałem, że zapatrzyłem się w niebo, żeby tylko nie widzieć jego gęby. Przypomniały mi się liczne kary, jakich doznałem przez te wszystkie lata. Dyrektor obiema nogami nadepnął mi na stopę.

- Boli? Niemożliwe! Aniołowie nie mają nóg!

Przydeptując najbardziej bolesne miejsce mojego ciała, Mulat tratował mi przede wszystkim duszę.

- Udajesz, że jesteś z kamienia? No właśnie, czyż kamienie nie są stworzone po to, by po nich deptać? Wytrzymałem bez mrugnięcia okiem. Ten diabeł wcielony dychał i prychał prosto na mnie. Obsypał mnie gradem wyzwisk. Złapał za uszy i plunął w twarz. Potem puścił mnie i odszedł. Dając upust zapiekłej złości, chwyciłem kamień i wycelowałem w jego głowę. Niespodziewanie powstrzymała mnie jakaś ręka.

- Xidimingo, nie rób tego.

To była Ernestina, żona Excelencia. Pociągnęła mnie na kamienną ławę. Pogładziła po plecach.

- Usiądź tutaj.

Posłuchałem. Ernestina przesunęła palcami po moich włosach. Wciągnąłem głęboko powietrze, ale nie poczułem żadnego zapachu. Czyżbym sobie wymyślił jej perfumy?

49

- Nie rozumiesz jego niegodziwości?

- Nie.

- Bo jesteś biały. On musi się nad tobą znęcać.

- Ale dlaczego?

- Boi się, że go oskarżą o rasizm.

Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiałem. Ale wcale mi na tym nie zależało, najważniejsze, że byłem blisko niej. Wstałem i zerwałem parę kwiatów. Gdy je wręczałem, delikatne płatki zaczęły opadać. Ernestina uniosła dłoń ku twarzy.

- Mój Boże, jak ja lubię ten zapach!

Doprowadziłem do ładu swoje niedzielne ubranie.

Całkiem już straciłem rachubę dni i tygodni. Każdy dzień miał dla mnie posmak niedzieli. Być może chciałem przyspieszyć czas, który mi został. Ernestina spytała:

- Nie tęskno ci?

- Mnie?

- Kiedy tak patrzysz na morze, nie tęskno ci?

Potrząsnąłem głową. Tęskno? Za kim? Wręcz przeciwnie, lubię samotność. Przysięgam, panie inspektorze. Cieszy mnie, że jestem z dala od najbliższych. Nie obchodzą mnie ich narzekania ani choroby. Nie widzę, jak się starzeją. A najważniejsze, że nie patrzę na ich śmierć. Tutaj jestem daleko od śmierci. To taka mała przyjemność, która mi jeszcze została. Dobrą stroną bycia daleko jest całkowity brak rodziny. Krewni i przyjaciele są za morzami. Ci, którzy umierają, znikają w oddali jak spadające gwiazdy. Padają bezszelestnie, nie wiadomo, gdzie i kiedy.

Proszę potraktować poważnie to, co powiem. Nigdy pan nie dojdzie prawdy o tym morderstwie. Przede wszystkim

50  
moi czarni przyjaciele nigdy panu nie wyjawiają, co naprawdę zaszło. Dla nich pan jest mezungo, czyli biały jak ja. Od wieków wiedzą, że nie należy otwierać się przed mezungami. Nauczyli się, że jeśli otworzą przed białym serce, to tracą duszę, zostaną obrabowani z tego, co najświętsze. Wiem, co pan powie. Jest pan tak samo czarny jak oni. Ale niech pan ich spyta, jak pana widzą. Dla nich jest pan białym, obcym, któremu nie można ufać. Bycie białym to nie tylko kwestia rasy. Sam pan o tym wie. Ale jest jeszcze coś. Chodzi o reguły rządzące życiem. Ja już nie wierzę życiu, panie inspektorze. Wszystko jest grą pozorów. Czy Excelencio umarł? A może tylko uległ przemianie, przestał być widzialny?

Już kończę, panie inspektorze. Zabiłem dyrektora przytułku. Czy z zazdrości? Nie wiem. Sądzę, że kiedy zabijamy z miłości, trudno jest ustalić motyw. Teraz, rozważając to na trzeźwo, już wiem, co było bezpośrednią przyczyną. Żegnając się z Ernestiną, zauważyłem, że stara się ukryć jedną stronę twarzy. Po chwili zrozumiałem. Miała na niej ślady bicia, była posiniaczona.

- Vasto znów cię pobił?



Odwróciła twarz. Kurczowo ścisnęła mi rękę i powiedziała uspokajająco:

— Nieważne, głupstwo.

Odeszła z głową wciśniętą w ramiona.

Kobieta, którą tak bardzo kochałem, nie była zwykłą istotą, lecz uosobieniem wszystkich kobiet i mężczyzn pokonanych przez życie. Wtedy jasno zrozumiałem, że Vasto musi zniknąć, muszę go jak najszybciej zabić. Wystarczy poczekać do wieczora. O pewnej porze Vasto zawsze wychodził ze swojego pokoju i szedł do kuchni wąskim, 51

niezadaszonym korytarzem. Zrobiłem na niego zasadzkę. Umieściłem wysoko wielki kamień, który miał spaść na Vasta Excelencia.

Panie inspektorze, chciałbym teraz zostać sam. Wspomnienia dużo mnie kosztują. Wydobywam je z pamięci poszarpane na bezładne strzępy. Chcę mieć święty spokój, należeć do jednego miejsca, mieć niepodzielne wspomnienia. Żyć jednym życiem. W rezultacie mieć pewność, że umrę za jednym razem. Ciężko mi wciąż doświadczać małych śmierci, które tylko ja sam dostrzegam, w skrytości ducha. Panie inspektorze, proszę mnie zostawić, właśnie znów trochę umarłem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trzeci dzień wśród żywych

To był mój trzeci dzień w fortecy. Izidine'a nękały wątpliwości. Zeznania starców podsuwały mu tropy, które wydawały się fałszywe, ale nie mógł ich ignorować. Le-ciwi świadkowie byli bardzo ważni, ale prawdziwych rewelacji spodziewał się od Marty Gimo. Jednakże pielęgniarka zrećcznie go unikała. Wykręcała się od spotkań. Mówiła, że musi pracować. Ale wyglądało na to, że nie wykonywała żadnych zabiegów pielęgniarskich. Całymi godzinami zabawiała się z pensjonariuszami, śmiejąc się i gawędząc. Mówili między sobą różnymi językami i poli-

cjant nie miał pojęcia, o czym rozmawiają. Jednego był pewien — to z niego się śmiali i stroili sobie żarty. Po południu policjant podszedł do Marty. Siedziała obok Navai. Tym razem chyba jednak wykonywała swój zawód.

- Proszę usiąść. Badam Navaię.

Staruszek podwinął spodnie, ukazując chude nogi.

Marta wyjaśniła, że w przytułku zdarzały się przypadki

53  
trądu. Sprawdza więc, czy choroba nie wróciła. Navaia komentował chudość swoich nóg.

— To robota czasu, proszę siostry. Czas jest jak dym, wysusza nam ciało.

Marta Gimo uśmiechnęła się wyrozumiale. Przysunęła się do staruszka i odsłoniła mu plecy, by sprawdzić, czy nie ma śladów choroby. Navaia był najwyraźniej zakłopotany.

— Siostro, tylko proszę mnie nie wąchać.

— Ale dlaczego?

— Bo moje ciało ma zapach zgaszonej świecy, zalatuje martwością.

Odsunął rękę pielęgniarki, chciał sobie sam obejrzeć nogi. Złapał coś i rozgniół w palcach.

— Czy siostra widzi tę pchłę?

— Nie widzę.

— To nie jest moja pchła. Znam swoje pchły, ta nie jest moja.

Pielęgniarka uśmiechnęła się i poprosiła, by opuścił nogawki.

— Navaia, czym ty się żywisz ?

— Okruszkami. Zbieram je tu i ówdzie.

— Tylko nie opowiadaj mi znów tej historii o sowie.

To dobre dla inspektora, ale nie dla mnie.

Marta klepnęła go w plecy.

— Możesz już iść, muszę porozmawiać z inspektorem.

Zaciekawiony Navaia ociągał się z odejściem. Dwa razy zawracał, udając, że szuka swojej obręczy. Gdy wreszcie zostali sami, Marta wyciągnęła do policjanta rękę.

— Póki pamiętam. Poproszono mnie o oddanie tego...

Prawą ręką podała mu mały przedmiot. Była to łuska,

54

taka sama jak te, które wcześniej pojawiły się w jego pokoju.

- Kto siostrze to dał?

- Nie pamiętam, inspektorze.

Powiedziała to z ironicznym uśmiechem. Słowo „inspektor” wypowiedziała dobitnie, sylaba po sylabie, jakby chodziło o obelgę. Izidine udał, że nie zauważył szyderczego tonu. Przeszedł od razu do sprawy.

- Wczoraj na skałach znalazłem karabin.

- Karabin? Niemożliwe. Chyba pan inspektor się pomylił...

Policjant wpadł we wściekłość. Zaczął krzyczeć na pielęgniarkę, że nie chce mu pomóc. Że coś ukrywa. Że to jest karalne.

- Proszę posłuchać, inspektorze. Zbrodnia, jaką tu się popełnia, nie jest tą, o którą panu chodzi.

- Co siostra ma na myśli?

- Proszę popatrzeć na tych starców. Oni umierają.

- Każdego z nas to czeka.

- Ale nie w taki sposób. Oni nie są tylko ludźmi.

- A kimże są?

- Strażnikami pewnego świata, który umiera wraz z nimi.

- Przepraszam, ale to już jest filozofia. Jestem tylko zwykłym policjantem.

- Prawdziwą zbrodnią, jakiej się tu dokonuje, jest uśmiercanie praczasów...

- Nic z tego nie rozumiem.

- Niszczy się ostatnie korzenie, ostatnie tradycje, któ-

re mogą nas uchronić przed tym, że staniemy się takimi jak pan inspektor...

55

- Jak ja?

- Tak, inspektorze. Ludźmi bez historii, żyjącymi na zasadzie imitacji.

- Bzdura. Prawda jest taka, że czasy się zmieniają, ci starcy należą do przeszłości.

Pielęgniarka, uderzając się w piersi, powiedziała z naciskiem:

- Oni umierają tutaj, w nas samych.

Marta Gimo wstała i odwróciła się plecami.

Izidine był zły na siebie z powodu utarczki z pielęgniarką. Marta była źródłem informacji, które powinien wykorzystać. Nerozsądne by było spłoszyć ją z powodu sprzeczki. Zostały mu jeszcze tylko trzy dni. Nie mógł marnować czasu. A tym bardziej zrywać kontaktu z osobą, która coraz wyraźniej jawiła mu się jako jedyne ogniwo wiodące do rozwiązania sprawy śmierci Excelencia. Też nocy, gdy szykował się do snu, usłyszał krzyki kobiety. Pobiegnął mrocznymi zakamarkami. Krzyki dochodziły z pokoju Marty. To ona krzyczała. Policjant wpadł do pokoju z rewolwerem w ręce. W ciemnościach nie sposób było stwierdzić, z kim pielęgniarka się szamocze. Izidine ruszył naprzód, by ją bronić przed niewidzialnym przeciwnikiem. Marta upadła, a on na próżno szukał intruza. Nagle pielęgniarka wybuchnęła śmiechem. Skulona, dusząc się ze śmiechu, otworzyła drzwi i wyszła w księżycową noc. Przez koszulę prześwitywał zarys jej ciała.

- Kto to był? - spytał Izidine.

- Nietoperz!

Jej głos przeplatał się ze śmiechem. Izidine Naita nie potrafił zdobyć się na uśmiech. Uzmysłował sobie, jak

56

wygląda: rewolwerowiec w kalesonach. Marta podeszła i pogładziła go po włosach.

— Mamy na sobie pełno sierści nietoperza.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Poprosiła, by odłożył broń.

— Wiesz, co powinniśmy teraz zrobić?

— Nie wiem.

— Gdybyśmy hołowali tradycji, to wiesz, co powinniśmy zrobić?

— Nie mam pojęcia. Może wykąpać się?

— Powinniśmy się kochać.

Policjant, nie wiedząc co powiedzieć, uśmiechnął się.

Był kompletnie oszołomiony i szybko się pożegnał. Za jego plecami rozległy się ostatnie słowa pielęgniarki:

— Szkoda, że pan inspektor nie hołduje tradycji. Wielka szkoda, nie sądzi pan?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Zeznanie Nhonhosa

Rozmawiał pan ze starym Portugalczykiem? Założę się, że opowiedział panu, co kiedyś się wydarzyło pod uroczynem. Dobrze pamiętam to popołudnie. Przyszedłem na taras i zobaczyłem, że portuga śpi. Odetchnąłem z ulgą. Chciałem coś zrobić, ale dyskretnie, bez świadków. Podszedłem na palcach, podniosłem maczetę i wymierzyłem pierwszy cios. Ostrze weszło głęboko w miękki pień. Nie przypuszczałem, że biały się obudzi. Myliłem się. Xidimingo nagle się poderwał, wymachując rękami.

- Co ty wyprawiasz, palancie!

- To, co widzisz. Ścinam drzewko.

— Przestań, zasańcu, to moje drzewko.

— Twoje? Spadaj, mulungo\*, nie wkurzaj mnie.

Nigdy dotąd tak nie rozmawialiśmy. Domingos Mourao, nasz Xidimingo, wstał, kuśtykając, i rzucił się na mnie. Walczyliśmy ze sobą zażarcie. Biały szarpał mnie

jak rozjuszona zwierzę. Ale wkrótce walka ustała - no-Mulungo - biały pan (przyp. tłum.).

58

gom i ciosom brakowało witamin. Tylko nasze oddechy rzeziły w zmęczonych piersiach. Byliśmy wykończeni, słanialiśmy się na nogach.

- Ty zawsze chcesz mi rozkazywać. Chyba wiesz, że kolonializm się skończył!
- Wcale nie chcę nikomu rozkazywać...
- Jak to nie? Ja tam białym nie ufam. Biały jest jak kameleon, nigdy nie pokazuje całego ogona...
- Wy, czarni, mówicie źle o białych, a za wszelką cenę chcecie być tacy jak oni...
- Biali są jak piripiri - człowiek wie, że zjadł, bo go piecze w gardle...
- Między mną a tobą jest taka różnica, że mnie włosy zostają na grzebieniu, a tobie grzebienie we włosach...
- Zamknij się, Xidimingo. Jesteś zarozumiałym dupkiem.

Biały zaśmiał się pod nosem. Potem zaczął doprowadzać się do porządku. Czuł silny ból w gardle, niczym żyrafa ze skurczem szyi. Przez pewien czas siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Myślałem, że zemdłał.

- Mourao, oddychasz?
- Uważaj, Nhonhoso, chcesz jeszcze raz oberwać?
- To ty dostałeś niezłe wciury, stary białasie...
- Odpocznę chwilkę i zobaczysz, jak ci przyłożę.
- Żeby mi przyłożyć, musiałbyś odpoczywać ze sto lat...

Spojrzeliliśmy na siebie z powagą. Nagle obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Klasnęliśmy w dłonie, przybiliśmy piątkę na zgodę. Ta walka miała tyle sensu co walka o szarańczę, z której ani pożytku, ani mięsa. Wtedy powiedziałem:

59

- Wiesz co, stary, jestem ci bardzo wdzięczny.
- Za co?
- Kurde! Mógłbym umrzeć, nie pobiwszy jakiegoś białego.
- Nazywasz to pobiciem? To były pieszczoty...
- Nieprawda. Spuściłem ci porządne manto.
- Nhonhoso, stary łajdaku, powiedz mi jedną rzecz: dlaczego chciałeś ściąć to drzewo?

Położyłem maczetę pod ławkę. Wyjaśniłem, że chciałem tylko pomóc Naozinhi. Biedaczka wybierała już całą balsamkę wokół fortecy.

- A po co jej tyle tych ziół?
- Żeby mieć mleko. Chce sobie ożywić piersi.
- Mleko? Przecież ma ponad dziewięćdziesiąt lat.

Chodziło o Naozinhe, tę, która karmiła urojone dzieci, sieroty wojenne. Twierdziła, że to jej wnuki. Była głównym tematem naszych rozmów. Podobno zabiła męża, żeby zostać z dziećmi, a potem zabiła dzieci, żeby zostać z wnukami. Tak ludzie gadali i gadają. Ja tam nie wiem. Wiem tylko, że po tych wszystkich zgonach została wygnana z domu i oskarżona o czary.

- To jakaś wariatka...
- Nie wiem, mulungo, sam nie wiem. Na tym świecie człowiek nie może mieć żadnej pewności. Już nawet się zastanawiam, czy czasem róg nie rodzi się przed wołem. Biały schylił się i podniósł z ziemi kwiat. Napawał wzrok kwiatami uroczynu, dopatrując się w spadających płatkach odprysków słońca lub białego tchnienia obłoków.
- Nhonhoso, jestem bliski śmierci. Dla mnie niebo zaczyna się tuż nad tymi liśćmi, już prawie mogę go dotknąć...

60

Zadrzałem, słysząc te słowa. Przez ostatnie lata biały był mi tak bliski, że nie wyobrażałem sobie życia bez niego.

— Przestań, mulungo. Jeszcze nieraz posiedzimy sobie na tym tarasie.

— Jestem stary, bracie. Tak stary, że nawet zapominam o swoich bólach.

Xidimingo rozkoszował się zapachem kwiatów. Wyciągnął rękę i dotknął uroczynu, jakby z tego niezwykłego drzewa chciał stworzyć cały las, całe cieniste, rozświegotane królestwo.

— Ty też dotknij, Nhonhoso. Zobaczysz, dobrze ci to zrobi.

Spojrzałem na swoje dłonie i przestraszyłem się.

— O rany! Mourao, ukradli mi paznokcie!

— Pokaż. Te szpony pewnie ci odpadły podczas lania, jakie ci spuściłem...

— Nie. Spójrz, zostały obcięte żyłką. To sprawka Nazozinhi, ta baba chce użyć moich paznokci do jakichś czarów.

Byłem tak zaniepokojony, że o mało się nie rozpląkałem. Wtedy Portugalczyk powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę.

— Nie bój się, ja też jestem czarownikiem.

— Ty czarownikiem ?

— Znam się na czarach białych. Nie bój się, nikt ci nic nie zrobi.

Prócz niepokoju czułem taki smutek, że aż piekły mnie oczy.

— Problem w tym, że to moje ostatnie paznokcie. Już długo nie pożyję, nie zdążą mi odrosnąć.

61

— Daj spokój, Nhonhoso, doczekasz jeszcze niejednych paznokci. Wiem, kiedy ktoś ma umrzeć - wtedy, gdy obudzi się z pępkiem na plecach.

— Nie rozśmieszaj mnie.

— To prawda. Rodzimy się z pępkiem z przodu, a kiedy umieramy, jest odwrotnie. Na przykład mój wujek



obudził się z brzuchem po przeciwnej stronie i tego samego dnia rozstał się z życiem.

— Oj, mulungo, potrafisz mnie rozśmieszyć. Dobry z ciebie człowiek.

— Mylisz się, Nhonhoso, wcale nie jestem dobry. Jestem niegodziwy, chociaż może nierychliwy.

Biały oddalił się trochę, chciał być sam. Przebierał palcami każdej ręki i uważnie je liczył. Po co to robił? Czyżby też obawiał się utraty paznokci?

— Liczę palce, żeby sprawdzić, czy żadnego mi nie brak.

Bał się trądu, który się szerzył w okolicy. Roześmiałem się, wrócił mi dobry humor.

— Nie do wiary, Mourao, pobiliśmy się!

— Fajnie było, dostałeś nawet po gębie.

— Cholera! Całkiem jak FRELIMO\* z kolonialistami.

— My, biali, zwyciężaliśmy przez pięćset lat. To my mieliśmy broń...

Biedny Portugalczyk, nadal żył złudzeniami. Nie rozumiał przeszłości. Biali nie pokonali nas bronią. Stało się tak, gdyż my, Mozambijczycy, wierzyliśmy, że duchy przybyszów są starsze od naszych, że czary Portugalczy-FRELIMO - Front Wyzwolenia Mozambiku, organizacja walcząca o nie-

podległość tej kolonii portugalskiej w latach 1962-1975 {przyp. tłum.}).

62

ków mają większą moc. Dlatego pozwoliliśmy im rządzić. A kto wie, może ich bajki były bardziej czarowne? Ja sam lubię słuchać bajania starego Portugalczyka. Poprosiłem go, żeby rozerwał mnie trochę swoimi opowieściami.

— Nhonhoso, jestem zmęczony.

Męczyły go rzeczy pozbawione duszy. Przynajmniej drzewo, mawiał, ma wieczną duszę — czyli ziemię. Człowiek dotyka pnia i czuje, jak krew ziemi krąży w je-

go własnych żyłach. Siedział nieruchomo, powieki mu opadły.

- Mourao, oddychasz?

— Tak, Nhonhoso. Teraz bądź cichutko, posłuchamy morza.

Zapatrzyliśmy się w złudny spokój morza. Na niebie wysypywały się pierwsze gwiazdy.

— Ale dlaczego to drzewo jest dla ciebie tak ważne?

— Pozwól mi porozmawiać z morzem.

Usiadłem więc obok Portugalczyka. Było mi go bardzo żal. Człeczyna umrze tutaj, z dala od przodków. Zostanie pochowany w obcej ziemi. Jest skazany na najgorszą ze wszystkich samotności - będzie z dala od swoich zmarłych, nie mając po tej stronie życia żadnego krewnego, który by się nim zajął. Nasi bogowie są tutaj, blisko. Jego Bóg jest hen, hen, daleko.

- Xidimingo, czy modlisz się do Boga?

Zaprzeczył ruchem głowy. Powiedział, że modli się tylko wtedy, gdy nie chce rozmawiać z Bogiem. Zaśmiałem się, by zbagatelizować powagę obrazy.

- Coś ci powiem, Nhonhoso, Bóg mnie bardzo rozczarował.

- Jak to?

63

- Dam ci przykład: Bóg jest bardzo leniwy, wiesz o tym?

- Nieprawda. Bóg podtrzymuje gwiazdy, miliony gwiazd przez miliony nocy. Czy się kiedyś zmęczył?

- A ja ci mówię, że ten typ jest leniwy.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo nie pracuje, tylko czyni cuda.

- Wypluj te słowa. To kryminalny grzech.

- Boga wcale nie interesują grzechy. Wiesz, co go naprawdę interesuje? Ucieczka z raj. Chce dać drapak z tego przytułku.

- No to pod tym względem jesteśmy podobni do Boga.

Ta gadanina w końcu znużyła białego. Stwierdził, że strzepimy sobie języki, podczas gdy naprawdę chodzi o moje okrucieństwo wobec jego uroczynu. Powiedział, że my, czarni, nie rozumiemy tego, nie lubimy drzew. Wtedy się zezłościłem. Jak to nie lubimy drzew? Szanujemy je, jakby należały do rodziny.

- Wy, biali, nic nie wiecie. Zaraz ci powiem coś, o czym nigdy nie słyszałeś.

Opowiedziałem mu o zaraniu praczasów. Z początku na świecie istnieli tylko ludzie. Nie było drzew ani zwierząt, ani kamieni. Sami ludzie. Ale ludzi tak przybywało, że bogowie stwierdzili, iż jest ich zbyt wielu i są zbyt do siebie podobni. Wtedy postanowili, że jednych zamienią w rośliny, drugich w zwierzęta, a jeszcze innych w kamienie. I co mamy w rezultacie? A to, że wszyscy jesteśmy braćmi — drzewa i zwierzęta, zwierzęta i ludzie, ludzie i kamienie. Jesteśmy krewniakami stworzonymi z jednej materii.

64

Tak mu powiedziałem. Ale Portugalczyk chyba wcale mnie nie słuchał, bo potrząsnął głową i powiedział:

— Ty tego nie rozumiesz i nie możesz zrozumieć. Widzę, że czarni marzą o wielkich samochodach, wielkich posiadłościach...

— A ty marzysz o drobiazgach?

— Moją ambicją jest tylko posiadanie jednego drzewa. Inni chcą mieć lasy, a ja tylko jedno drzewko, które mógłbym pielęgnować, patrzeć, jak rośnie i kwitnie.

— Mówisz o wariactwach Naozinhi, ale jej urojenia przynajmniej żywią dzieci.

Mieliśmy już dość tej rozmowy. Postanowiliśmy spędzić noc na świeżym powietrzu. Znudziło się nam spać w budynku, razem z chrapiącymi starcami oraz ataku-

jącymi nas wszami i szczurami. Ułożyliśmy się jeden obok drugiego. Już zaczynał nas morzyć sen, gdy Mourao mną potrząsnął.

— Ej, stary, nie przysuwaj się za bardzo.

Czyżby źle zrozumiał moją chęć ogrzania się? Kiedy wydawało mi się, że zasnął, znów się odezwał:

— Nhonhoso, śpisz?

— Jeszcze nie. O co chodzi, bracie?

— Jest pewna rzecz, o której nie miałem okazji ci powiedzieć. Zdaje się, że my, biali, mamy małe siusiaki.

— Słyszałem o tym. Pokaż swojego, Xidimingo.

— Zwariowałeś? Nie mogę.

Ale po chwili dodał:

— Jeśli chcesz, to zerknij.

Portugalczyk odchylił gumkę spodni i wciągnął brzuch.

— To prawda - stwierdziłem.

— Jaka prawda?

65

- Tak jakby ciut przymały.

Portugalczyk nie zgadzał się ze mną. Oponował. Nie chciałem nowej kłótni. Niebawem doszliśmy do porozumienia.

- Porównamy sobie jutro, z samego rana, kiedy będą rześkie i w pełnej gotowości.

Usnęliśmy snem starego człowieka, lekkim i krótkim.

Od czasu do czasu sprawdzałem oddech portugali. W środku nocy wyrwał mnie ze snu i pogroził palcem.

— Nhonhoso, stary zbereźniku, chyba śniło ci się...

- Do licha, co mnie tak szarpiesz, o mało nie spłoszyłeś mi snu...

— Dobrze ci tak, niech ci się więcej nie śni...

- Daj spokój, Mourao. Lepiej wyjaśnij mi pewną wątpliwość: czy zawsze śnią nam się kobiety? Bo mnie zawsze śni się ta sama kobieta...

— Kto to jest?

— Marta. I nie dziwota, skoro babka rozbiera się na oczach wszystkich...

— A ja lubię podglądać żonę szefa, tę Mulateczkę...

— Ernestinę? Uważaj, bo Excelencio wyłupi ci te wścibskie oczy...

Znów się położyliśmy. Takie stare dziady jak my z trudnością schylają się do ziemi. W naszym wieku każdy ruch wymaga ciała, jakiego już nie mamy. Biały trącił mnie i poprosił o nóż albo jakiegokolwiek inne ostrze.

- Po co ci nóż?

- Żebym też miał sny.

Sny? Roześmiałem się. Stary Mourao był przekonany, że śni tylko wówczas, gdy krwawi. Twierdził, że to prawda. Sny nie nawiedzały go, jeśli nie utoczył sobie trochę

66

wewnętrznej czerwieni. Tej nocy Xidimingo nie dawał mi spokoju.

— Nhonhoso?

— Xidimingo, daj mi spać.

— Jeszcze tylko jedno pytanie: widziałeś kiedyś zasypiającą czaplę?

— Tak, a dlaczego?

— Czapla zasłania sobie twarz skrzydłem, jak płaczący człowiek. Wstydzi się spać na oczach wszystkich. Też powinniśmy tak robić.

Wreszcie sen go zmógł. Czekałem na tę chwilę. Portugalczyk mówił o czaplach okrywających się skrzydłami. Moją czaplą była Marta Gimo. Czy chłód, czy deszcz, zawsze spała nago na ziemi. Przykrywała się własnymi rękami. To ja nieskończoną ilość razy ratowałem ją od zimna.

Ani Marta, ani nikt inny o tym nie wiedział. Tej nocy też wstałem, żeby popatrzeć na tę, którą bardzo kochałem. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą koc. Idąc na tyły kuchni, gdzie Marta zwykle sypiała, śmiałem się sam do

siebie. Wędrowanie z kocem na plecach — oto co zostało mi z chlubnej przeszłości złodzieja samotnych serc, cieszącego się zasłużoną sławą uwodziciela. Dawniej nakrywałem je sobą, teraz przykrywam kocem.

Szedłem, śmiejąc się, gdy nagle zobaczyłem Vasta Excelencia. Skradał się na palcach, chciał przemknąć niepostrzeżenie. Kierował się w stronę kuchni. Zniknął w krzakach. Kiedy znów go ujrzałem, rozmawiał z Martą. Siedzieli bardzo blisko siebie. Chyba się kłócili, Marta złościła się.

Nagle położył jej dłonie na ramionach, jakby chciał ją

67

przewrócić na plecy. Marta broniła się. Postanowiłem natychmiast interweniować.

Jednakże dawno już wyrosłem z wieku rękoczynów.

Zrobiłem pierwszy krok i upadłem jak długi. Próbowałem wstać, ale znów się potknąłem. Kiedy wreszcie doznałem do Marty, Vasto już zniknął. Dziewczyna płakała. Gdy mnie ujrzała, podniosła rękę, nakazując, bym odszedł.

Ten skurczysyn, ten Vasto, wyrządził przykrość kobiecie, którą bardzo kochałem.

Wściekłość zdecydowała za mnie — muszę ukręcić łeb temu draniowi. Pobiegnę, by dopaść go w końcu korytarza, którym powinien iść. Gdy się zbliżył, rzuciłem się na niego z niespodziewaną siłą, którą czerpałem z przeszłości. Przyparłszy go do ściany, rozkwaśiłem mu gębę, po czym zatkałem ją kocem, dopóki nie wydał ostatniego tchnienia.

Było tak, jak mówię, panie inspektorze. Mulat zginął z mojej ręki. Zabiłem z miłości. Stary mężczyzna też może kochać. Może kochać tak bardzo, że potrafi zabić.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Czwarty dzień wśród żywych

Tego ranka policjant postanowił doprowadzić do przełomu w śledztwie. Pierwsze kroki skierował w stronę

kuchni. Zamierzał wejść do magazynu i sprawdzić, co się tam znajduje. Po drodze natknął się na śpiącą Martę. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że jest naga. Pielęgniarka zerwała się ze snu, inspektor wykazał się dobrym wychowaniem i odwrócił wzrok. Przeprosił i chciał się oddalić, by mogła się ogarnąć. Ale ona wcale nie była zażenowana i zawołała go:

— Zostań, zawsze tak robię...

— To znaczy jak?

— Sypiam nago na ziemi.

Myślał, że Marta coś na siebie narzuci. Ale ona wstała i wyraziła gotowość do rozmowy, wcale się nie ubierając. Najpierw wyjaśniła, że sypia pod gołym niebem nie z powodu wszy czy szczurów. Robi to dlatego, że w pokoju jest jej smutno, czuje się jak w trumnie bez grobu. Ponadto, śpiąc nago na ziemi, czerpie z niej tajemne siły.

— Nawet tu, na tym odludziu, czuję zapach bijący z głębi, z wnętrza świata.

69

- Może to nie ziemia, ale ty sama tak pachniesz.

- Kto wie? Kiedy tak leżę, czuję się bliźniaczką ziemi.

Czyż nie mówi się, że kobieta widzi w ziemi też kobietę?

- Chcę cię o coś zapytać, ale proszę, powiedz prawdę...

- Czy kiedykolwiek było inaczej ?

— Chcę wiedzieć, czy miałaś romans z Vastem Excellencem.

— Romans, dwa romanse, wiele romansów...

- Mówię poważnie, chcę wiedzieć, czy byliście kochankami.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Nagle oznajmiła:

— Ubiorę się i zaraz wracam.

Na chwilę skryła się za murem. Wróciła owinięta tylko w capulane. Była naburmuszona, opryskliwa, chłodna.

— Muszę iść zobaczyć, co z Navaią, tym dzieckiem-

-starcem. Wczoraj źle spał.

— Znam go, pierwszy złożył zeznanie.

— Wczoraj wieczorem prawie doszedł do końca swojej historii. Był na krawędzi śmierci. Idę do niego.

- Poczekaj — powiedział Izidine, zastępując jej drogę. — Musisz mi odpowiedzieć.

- Muszę? A niby dlaczego?

— Ponieważ... reprezentuję władzę.

- Tutaj nie masz żadnej władzy.

Wyminęła policjanta i odeszła. Izidine ruszył za nią i chwycił za rękę. Stała tak blisko niego, że czuł na twarzy jej oddech. Próbowwała się uwolnić. Na próżno. W rezultacie spadła z niej luźno narzucona capulana, obnażając nagie ciało. Przytrzymała ją z udawaną wstydlivością.

— Marto, musisz mi odpowiedzieć, to jest moja praca.

70

— Proszę zejść mi z drogi, ja też muszę pracować.

Pielęgniarka znów próbowała się wyrwać. Izidine jeszcze mocniej ścisnął jej rękę i zasepił się.

— Uważaj, siostrzyczko. Śledztwo nic się nie posuwa. Teraz już wiem dlaczego. To ty mi je utrudniasz...

-Ja?

— Tak. Mącisz starcom w głowach, żeby zmyślali jakieś bzdury i wprowadzali mnie w błąd...

— To nie są żadne bzdury. Po prostu nie rozumiesz, co chcą ci powiedzieć.

— Nie rozumiem?

— Wszyscy oni mówią o bardzo ważnych rzeczach, ale ty nie mówisz ich językiem.

— Jak to? Przecież rozmawiamy po portugalsku.

— Ale to nie jest ten sam portugalski. A wiesz dlaczego? Bo ci nie ufają. Chcę cię o coś zapytać: czemu nie odejdziesz z policji?

— Bo jestem policjantem i w tym charakterze tu przyjechałem...



- Tu nie ma miejsca dla policjantów.
- Ta rozmowa nie ma sensu. Jestem tu, żeby wykryć mordercę...
- Tylko o to ci chodzi, o znalezienie winnych. Ale tu są ludzie. Starcy u schyłku życia, ale ludzie, sól tej ziemi, którą deptasz tam, w mieście.
- Jaka tam znów sól! Oni znają fakty, które przede mną ukrywają. Wiesz, co zrobię? Wszystkich aresztuję. Wszyscy są winni albo współwinni.
- Brawo, inspektorze. Tak właśnie należy sprawować władzę. Gratuluję, panie policjancie. Po powrocie do Maputo z pewnością dostanie pan awans.

71

Marta Gimo starannie owinęła się capulaną. Usiadła na niskim murze. Policjant włożył ręce do kieszeni i skierował wzrok na ocean. Dopiero wówczas zauważył, że dzień jest wyjątkowo piękny, niebo i woda wprost prześcigają się w błękitach. Jak okiem sięgnąć panowała bezmierna cisza. Izidine trochę się uspokoił. Westchnął głęboko i usiadł obok pielęgniarki. Jego głos spokorniał.

— Proszę, pomóż mi. Nie mam już czasu, nie wiem, co robić.

Pielęgniarka ukryła twarz w dłoniach. Broniła się milczeniem. Ale to przerosło cierpliwość inspektora. Znow zaczął nalegać:

— Co ja mam zrobić? Powiedz mi, przecież znasz tujsze realia...

— Chcesz ich ukarać!

— Chcę poznać prawdę...

— A wiesz, dlaczego chcesz ich ukarać? Bo się ich boisz!

— Ja się ich boję?

— Tak. Ci starcy to przeszłość, którą chcesz w sobie stłumić. Przypominają ci, skąd pochodzisz...

Inspektor znów wpadł w furję. Siostrzyczka chce z nim dyskutować? Dobrze, ale on nie jest pierwszym lepszym

policjantem. Chce odpowiedzi? Będzie ją miała. Już szykował się do strzału ostrą ripostą, gdy zobaczył, że Marta płacze. Niespodziewana słabość kobiety rozbroiła go. Położył rękę na jej ramieniu. Ale gwałtowne szarpnięcie odtrąciło gest pocieszenia.

— Zostaw mnie, ty... policjancie!

Marta oddaliła się. Inspektor przez chwilę dochodził do siebie. Potem postanowił wykonać zaplanowane czynności. Skierował się do składu produktów żywnościowych. Był zamknięty na siedem spustów. Kiedy szykował się do sforsowania licznych zamków i zasuw, usłyszał głos Nhonhosa:

- Lepiej, żeby pan tam nie wchodził.  
- Dlaczego?

Po chwili wahania stary odpowiedział po swojemu, ni w pięć, ni w dziewięć. Jego wypowiedź była bardzo dziwna:

- Tam nie ma gruntu pod nogami.  
- Nie ma gruntu?

Nhonhoso kiwnął potakująco głową. Wyjaśnił, że w środku jest tylko pustka. Pustka wewnątrz dziury. Wszystko zapadło się pod ziemię.

- Jak pan wejdzie, też się pan zapadnie — dodał.

Izidine Nafta zlekceważył rady starego. Jednym strzałem roztrzaskał zamek w głównym wejściu. Zanim wszedł, ostrożnie zajrzał do środka. Było ciemno, wilgotno, a w powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach. Wtem ciszę zmącił trzepot skrzydeł i echo zamarło gdzieś w głębi. Po chwili rozfurkotały się inne skrzydła i na twarz Izidine'a posypał się grad dotkliwych ciosów. Upadł, prawie tracąc przytomność. Drzwi zamknęły się z hukiem. Izidine nawet tego nie zauważył. Ale ja, duch będący w nim, poczułem ręce Nhonhosa, który pomógł mu wstać i zaciągnął do czarownicy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Zeznanie Naozinhi

Nazywam się Naozinha, jestem czarownicą. Trudno mi wracać do wspomnień. Niech mi pan nie każe odgrzebywać przeszłości. Czy wąż połyka własną ślinę? Muszę mówić, to rozkaz? W porządku. Ale coś panu powiem. Posłuszeństwo jest zawsze udawane. Niech pan nie rozkazuje mojej duszy. W przeciwnym razie mówić będzie tylko moje ciało.

Na początek chcę zaznaczyć, że nie powinniśmy rozmawiać w nocy. Jak się coś opowiada po ciemku, to rodzą się puszczyki. Zanim skończę swoją historię, wszystkie puszczyki świata obsiadą drzewo, o które się pan opiera. Nie boi się pan? No tak, wprawdzie jest pan czarny, ale z miasta. Niczego nie wie, niczego nie szanuje.

Zacznijmy zatem rozkopywać ten cmentarz. Tak jest, cmentarz. Wszyscy, których kochałam, nie żyją. Moja pamięć jest kamieniem nagrobnym, pod którym sama siebie grzebię. Moje wspomnienia są martwymi istotami, pochowanymi nie w ziemi, lecz w wodzie. Mącą tę wodę i wszystko czerwienieje.

74

Budzę w panu strach? Właśnie dlatego, z powodu strachu, wygnali mnie z domu. Oskarżyli o czary. W naszych stronach to tradycja, że starą wiejską kobietę oskarża się o czary. Mnie też to spotkało, całkiem niesłusznie. Obwinili mnie o wszystkie zgony w mojej rodzinie. Zostałam wygnana. Cierpiałam. My, kobiety, zawsze jesteśmy pokrzywdzone: za młodu nie pozwalają nam żyć, a na starość mają za złe, że nie umieramy.

Ale obecnie czerpię korzyści z tych oskarżeń. Fama czarownicy jest mi na rękę. Dzięki temu ludzie się mnie boją, nie biją, nie poszturchują. Jak pan widzi, źródłem mojej mocy jest kłamstwo. Wszystko wzięło się stąd, że moje życie potoczyło się na opak, niczym morze, które

wpływa do rzeki. Tak jest, byłam żoną własnego ojca. Ale proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie ja z nim sypiałam.

To on sypiał ze mną.

Muszę zatrzymać się na tym wspomnieniu. Przepraszam, panie inspektorze, ale powinnam opowiedzieć o ojcu. Chce pan wiedzieć dlaczego? Bo to ja zabiłam Mulata Excelencia. Jest pan zdziwiony? Zaraz to wyjaśnię. W tym łajdaku był duch mojego ojca. Musiałam go zabić, bo po prostu był narzędziem spełniającym zachcianki ojca. Żeby więc mówić o Excelenciu, muszę najpierw opowiedzieć o ojcu. Czy mogę zacząć od ojca, czyli od zamierzchłej przeszłości? Niech mi pan pozwoli, bo zaczął pan od rozkazów, zanim zdążyłam otworzyć usta. Nie chcę marnować pańskiego czasu, ale nic pan nie zrozumie, jeśli nie zapuszczę się w głąb wspomnień. Bo to, co się dzieje, zawsze skądś się bierze.

Mojego ojca nękał jakiś zły duch. Zawsze, gdy dochodziło do zbliżenia z kobietą, tracił wzrok. Wystarczyło, że

75  
dotknął kobiecego ciała, a stawał się ślepy. Wreszcie miał już tego dość i poszedł do czarownika. Martwiły go nie tylko napady ślepoty. Dokuczało mu również to, że czuł się nieswojo w całym tym wielkim świecie. Postanowił więc oddać swój los w ręce wróżbity, a ten obiecał mu tylko tyle, że będzie bogaty. Dodał jeszcze, że jeśli pragnie zawsze żyć w dostatku, musi uwieść najstarszą córkę, czyli mnie, i zacząć z nią współżyć. Tak mu powiedział:  
z ojca ma zmienić się w kochanka, z krewnego — w męża.

- Mam ją uwieść? — spytał ojciec.

- Tak jest, uwieść - odrzekł czarownik.

- A jeśli ona mnie nie zechce?

- Zechce, jeśli wypije lekarstwo, które ci dam.

- Czy to nie jest niebezpieczne?

- To lekarstwo sprawia, że usta nie słuchają serca.

Córka się zgodzi.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie... lepiej o tym nie myśleć, po prostu umrzesz. Mojemu staremu odjęło mowę. Umrze? Całkiem zgłupiał. Miał pewne wątpliwości, ale cóż mógł zrobić? Zgodził się. Wrócił do domu i to właśnie ja, wybrana córka, otworzyłam mu drzwi. Wie pan, co wtedy zobaczył, patrząc na mnie pod światło? Zobaczył mnie calutką. Jakbym była naga.

- Naozinha, jesteś bez ubrania?

Roześmiałam się. Bez ubrania? Szarpnęłam capulane, żeby zobaczył, że jestem ubrana. Ale w tym zamieszaniu capulana zsunęła mi się, odsłaniając piersi i skórę, która w tamtych czasach aż prosiła się o dotyk. W tej samej chwili ojciec przestał mnie widzieć. Stracił wzrok. A to znaczyło, że ja, jego pierworodna córka, budziłam w nim

76

pożądanie jak każda inna kobieta. Szukał drogi po omacku, jak ślepiec. Chciał przytrzymać się drzwi, ale zamiast tego dotknął moich ramion. Wyczuł mój dreszcz.

— Tato, dobrze się czujesz?

— Pomóż mi wejść, strasznie tu ciemno.

Następnego dnia podał mi napój przygotowany przez znachora. Nawet nie spytałam, co to jest. Z moich oczu pewnie można było wyczytać rozterkę, więc po prostu pochyliłam twarz. Nie wypiałam od razu. Stałam bez ruchu, jakby przeczuwając, co się stanie.

— Mogę wypić jutro?

— Możesz, córeczko. Wypij, kiedy zechcesz.

Doszło między nami do zbliżenia. Ojciec był moim pierwszym mężczyzną. Ale muszę coś wyznać: nigdy tego nie wypiałam. Tykwa czarownika wiele lat czekała na moje usta. Ojciec był przekonany, że jestem pod wpływem czarów i że moje zachowanie jest skutkiem lekarstwa. Jednakże moim jedynym lekarstwem byłam ja sama.

Stałam się więc żoną i córką, aż do chwili jego śmierci.

Powiesił się jak nietoperz, zwisał bezwładnie jak pozbawiona owoców gałąź. Nadszedł wieczór. Zapadła czarna noc. Przez wiele godzin wiatr chygotał nim w ciemności, a ciemność chygotała we mnie. Nie pozwolili mi go zobaczyć. W tamtych czasach dzieciom nie było wolno oglądać zmarłych. Wie pan, ze śmiercią jest jak z nagością, jak się zobaczy, to chce się dotknąć. Po ojcu nie zostały żadne rzeczy ani żadna podobizna. Zgodnie ze starym obyczajem całe mienie, łącznie z fotografiami, zostało pogrzebane wraz z nieboszczykiem.

Tak oto zostałam sierotą i wdową. Teraz jestem stara, chuda i czarna jak noc, podczas której nawet puszczyk nie

77

nie widzi. Ta czerń nie bierze się z rasy, ale ze smutku. Wszystko ma swoje znaczenie i każdy ma swoje nadludzkie smutki. Ale ja mam pewien sekret, tylko mój własny. Znają go tutejsi starzy, nikt więcej. Panu też powiem, ale niech pan tego nigdzie nie zapisuje. Niech pan słucha uważnie: co noc zamieniam się w wodę, staję się płynem. Z tego powodu sypiam w wannie. Paru starszków nawet przyszło, żeby to zobaczyć: kładę się do wanny, zaczynam się strasznie pocić, moje ciało rozpływa się w strumieniach potu. Staję się wodnista, roztapiam się. Dla starszków był to tak przykry widok, że uciekli w popłochu. Nikt nie dotrwał do końca, kiedy stałam się całkiem przezroczysta i zniknęłam w wannie.

Nie wierzy mi pan? Może pan sprawdzić na własne oczy. Nawet zaraz, po naszej rozmowie. Boi się pan? Niech się pan nie obawia. O świtaniu moje ciało się odraźda. Najpierw formują się oczy, niczym ryby zanurzone w prowizorycznym akwarium. Potem kształtują się usta, twarz i cała reszta. Ręce, z oporami przekraczające tę granicę, pojawiają się na końcu. Za każdym razem coraz dłużej zwlekają. Pewnego dnia pozostaną w wodzie. Tak bym chciała już więcej tu nie wracać!

Prawdę mówiąc, czuję się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy się rozładuję. Śpiąc w tym stanie, jestem wolna od snów — woda nie ma przeszłości. Dla rzeki wszystko jest teraźniejszością, fale płyną, ale nigdy nie odpływają w przeszłość. Jest taka zagadka: „Co można bić bez zadawania bólu?” Zna pan odpowiedź?

Powiem panu: bić bez zadawania bólu można tylko wodę. Mnie też życie może dawać cięgi, kiedy jestem wodą. Tak bym chciała na zawsze zamieszkać w płynnej

78

rozlewnej materii, w jakimś ujściu rzeki czy bezkresnym oceanie. Bez zmarszczek, bez żalu, wolna od brzemienia czasu. Tak bym chciała usnąć i więcej nie wrócić! Ale zostawmy moje mrzonki. Nie po to kazał mi pan mówić.

Pana interesują ostatnie zdarzenia, prawda? A więc wracam do tematu.

Tamtej nocy, w drodze do wanny, natknęłam się na Nhonhosa i Xidiminga. Spali na tarasie, wtuleni w siebie, żeby się ogrzać. Ale w tym wieku rosa nie jest dobra. Delikatnie ich obudziłam. Pierwszy ocknął się Nhonhoso. Kiedy zobaczył, że śpiący Xidimingo skłonił głowę na jego piersi, podniósł krzyk i gwałtownie zepchnął go na ziemię. Biały zerwał się ze snu.

— Co ty wyprawiasz, zwariowałeś ?

— Myślałem, że wykitowałeś.

— No to co? Musisz mnie tak szturchać?

Rozumiałam strach Nhonhosa. To wcale nie był przejaw nadmiernej bojaźliwości. Trzeba bardzo uważać, żeby ktoś nie wyzionął ducha w naszych objęciach i nie stygł przytulony do nas. Bo taki zmarły czepia się naszej duszy i pociąga za sobą w piekielne czeluście. W naszym przytulku zgony są tak częste, że czasem zastanawiam się, jaki pożytek jest z tych zmarłych. Tylu ludzi nawozi ziemię. A wie pan, skąd się bierze takie nagromadzenie zmarłych? Ja sama myślę sobie tak: zmarli służą do tego,

żeby rozkładać skórę świata, który to świat jest jak owoc z mięszem i pestką. Musi z niego odpaść skóra, żeby pokazało się wnętrze. A my wszyscy, żywi i martwi, staramy się wydobyć pestkę, która kryje dziwy nad dziwami. Przepraszam, panie inspektorze, że odeszłam od tematu i plotę bzdury. Wracam więc do naszej sprawy, czyli do nocy, 79

kiedy spotkałam Nhonhosa i Xidiminga. Pamiętam, że spytałam ich:

— Chcecie tu zostać na noc? Spać pod gołym niebem?

— Posłuchaj, Naozinha. Zostaw nas w spokoju, dziś nie mamy ochoty spać z tymi wszystkimi starcami...

— A ja muszę spać w swojej wannie. Gdyby nie to, chętnie bym tu została...

Obydwaj parsknęli śmiechem. Byli zadowoleni, że się mnie pozbędą. Podobnie jak cała reszta uważali mnie za czarownicę. Ubzdurali sobie, że przyczyniłam się do śmierci męża i dzieci. Myśleli, że zabiłam ojca, żeby być z mężem, że zabiłam męża, żeby być z dziećmi, i że zabiłam dzieci, żeby być z wnukami. A niech sobie myślą, co chcą.

Tamtej nocy pobyłam z nimi przez chwilę. Jeszcze zobaczyłam Martę, jak nago kładzie się na ziemi. Nhonhoso i Mourao wymienili łobuzerskie spojrzenia. Wtedy zjawił się ten Mulat, dyrektor. Zwołał całą naszą trójkę i kazał iść do gabinetu. To tam maltretował ludzi. Usiedliśmy na jednej ławce i Nhonhoso zaraz oberwał.

— Co ci kazałem zrobić, staruchu ?

Czarny spuścił głowę i milczał. Vasto Excelencio uniósł mu głowę, piorunując wzrokiem.

— Czy nie kazałem ci ściąć tego drzewa?

— A więc to tak? - zdziwił się Portugalczyk. - Ściąłbyś moje drzewo z rozkazu tego skurwysyna?

— Zamknij się!

Dyrektor był lakoniczny: Nhonhoso jest winny niesub-



ordynacji. Wszyscy wiedzieliśmy, jak zostanie ukarany. Zjawi się Salufo Tu co i wymierzy mu karę cielesną. Próbowалам ułagodzić jego wściekłość.

80

— Excelencio, chyba nie zamierzasz wychłostać tych biedaków...

Wtedy rzucił się na mnie. Z krzykiem uderzył mnie w klatkę piersiową. Raz, dwa, mnóstwo razy. Celował w piersi. Grzmocił tak długo, aż poczułam, że rozdzielam się na pół. Mourao i Nhonhoso próbowali interweniować, ale nawet razem nie stanowili żadnej siły. Upadłam, udając, że to nic takiego, po prostu mężczyzna bije starą kobietę. Excelencio znów wrzasnął na Nhonhosa:

— Kazałem ci ściąć drzewko portugii, ale nie posłuchałeś! Wiesz, co cię czeka...

— Wiem, ale mam jedną prośbę. Niech pan nie woła nikogo, żeby mnie wychłostał.

Nhonhoso zwrócił się do Portugalczyka i powiedział z błaganiem:

— Proszę cię, wychłoszcz mnie.

— Mam cię wychłostać? Zwariowałeś?

— Nie chcę, żeby mnie bił jakiś czarny.

— Nie prosź mnie o to. Nie mogę, nie potrafię.

Wtedy wtrącił się dyrektor. Spytał białego ze zjadliwą drwiną:

— Chyba nie powiesz, że nigdy nie wychłostałeś czarnego. Jak to jest, szefie?

Słowo „szef wypowiedział ze szczególnym naciskiem.

Ku naszemu zdumieniu Nhonhoso przyłączył się do niego:

— Szefie, spełnij moją prośbę.

— Nie rozumiem, Nhonhoso. Teraz jestem dla ciebie „szefem”?

Odpowiedział mu dyrektor. Ta rozmowa najwyraźniej go bawiła. Usiadł na krześle we władczej pozie i zgrywając się, oskarżycielsko pokiwał palcem.

- Wy, biali, zawsze będziecie szefami, a my, czarni...  
 - Jacy my, czarni? Zamknij się, zasrany oportunisto!  
 Stary Portugalczyk był wzburzony. Vasto Excelencio uśmiechnął się kącikiem ust.

- Mam się zamknąć? Skoro szef każe...  
 - Nie jestem niczym szefem!  
 - Jesteś! Jesteś moim szefem! — nalegał Nhonhoso.  
 - Do cholery, nie jestem żadnym szefem! Przestańcie chrzanić, jestem Domingos Mourao!

Rozjuszony Portugalczyk chodził w tę i z powrotem, powtarzając: „Jestem Domingos. Jestem Xidimingo, do jasnej cholery!” Nagle Nhonhoso zagroził białemu drogę. Spuścił głowę i błagalnie wyszeptał:

- Mourao, proszę cię, wychłószcz mnie.  
 - Nie mogę.  
 - Nie będę cierpiał, przysięgam.  
 - Ale ja będę.  
 - Xidimingo, bracie, proszę cię.

Biały zamknął oczy. Chyba powstrzymywał łzy. Powoli chwycił bat. Uniósł rękę, powieki miał nadal przy-  
 mknięte. Ale nie zdążył wykonać wyroku, gdyż nagle roz-  
 szalała się straszliwa burza. Błyskawice mieszały się  
 z piorunami. Nigdy nie widziałam tak rozsierzdzonych  
 niebios. Wyjęłam z torby gałązki asparagusa. Dałam po  
 jednej każdemu ze staruszków. Dyrektorowi nie. Trzy-  
 mana w rękę gałązka chroni przed rozerwaniem płuc. Po-  
 tem rozkazałam:

- Cicho! Wamulambo idzie niebem!  
 - Wamulambo? - spytał drżącym głosem dyrektor.  
 - Zamknij się, draniu!

Dyrektor wyszedł pośpiesznie, jakby przynaglony po-

trzebą naturalną. Xidimingo był zdumiony. Nie znał  
 wszystkich naszych wierzeń. Nie słyszał o wamulambie,

gigantycznej kobrze, która przechadza się po niebie podczas burzy. Dopóki cyklon nie ucichł, siedzieliśmy ze skulonymi ramionami. Potem wyszliśmy z budynku i spojrzeliśmy w niebo. Już nie huczały grzmoty, ale w przytułku burza narobiła wiele szkód. Blaszane dachówki były pozrywane i połamane. Nhonhoso powiedział:

- Ciągle powtarzam, że trzeba pomalować te dachówki...

Staruszek miał rację. Wichrowe kobry mylą blask falistej dachówki z morskimi falami. Rzucają się z impetem w otwartą przestrzeń, a lądują na blaszanym dachu.

— Naozinha, skoro jesteś czarodziejką, mogłabyś podarować staremu Xidimingowi takiego wamulamba.

- Coś ci powiem, biały. Zapomnij o tej kobrze. Ona wprawdzie pomaga właścicielowi, ale w zamian za to zawsze żąda krwi...

Portugalczyk nawet się nie uśmiechnął. To nie do wiary, jak stary człowiek jest uzależniony od pogody, jak jest wrażliwy na te różne meteorologie. W danej chwili wszyscy troje czuliśmy się marnie. Ciężkie chmury najbardziej przytłaczały Portugalczyka. Spojrzał w niebo i powiedział:

— Z takiego nieba nawet Matka Boska zniknie.

Piersi rozpierał mi głuchy, nieznośny ból. Miałam wrażenie, że krwawią. W pośpiechu opuściłam towarzyszy. Skierowałam się do swojego pokoiku, żeby się położyć. Powinnam jak najprędzej zamienić się w wodę. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że wanna jest cała potłuczona — burza zemściła się na niej. Czy to wamulambo staje

83

ze mną do walki, by mnie ukarać za wszystkie kłamstwa? Usiadłam zdruzgotana. Bluzkę miałam przesiąkniętą krwią.

Siedziałam bez ruchu, patrząc, jak krew kapie mi z piersi. Już nigdy nie będę mogła karmić wnuków, za-

równy tych wojennych, jak i tych prawdziwych. Tam, gdzie leje się krew, nie popłynie mleko. Niech na tego przeklętego Mulata spadną wszystkie możliwe śmierci! Teraz mogę powiedzieć, że los Vasta Excelencia został przesądzony w tamtej chwili. To ja go przeklęłam, przyczyniłam się do nagłego zgonu. Musiał wykrwawić się tą samą krwią, która broczyła z moich piersi.

Życie jest domem z dwójgiem drzwi. Niektórzy wchodzi i boją się otworzyć drugie drzwi. Kręcą się, tańczą z czasem, przedłużają pobyt w domu. Inni decydują się własnoręcznie otworzyć tylne wyjście. Tak było w moim przypadku. Moja dłoń przekręciła zamek w szafie, moje życie osunęło się w przepaść.

Przedemną stało pudełko z drewna sandałowego, chowane przez wiele lat. Z tego pudełka wyjęłam korzeń krzewu rosnącego na skraju bagien. Rozsunęłam nogi i powoli wbijałam korzeń w środek ciała, przez szparę, którą przychodzi na świat życie. Czekałam, aż trucizna rozejdzie się po całym ciele. Gdy zaczęłam tracić siły, chwiejnym krokiem wróciłam do przyjaciół.

— Naozinha, co się stało?

— Przyszłam się pożegnać.

Portugalczyk uśmiechnął się: do jakiegoż to nikąd się wybieram. Nhonhoso też się zaśmiał. Ale potem spostrzegli mój smutek.

— Wiecie, że burza zniszczyła moją wannę?

84

— Tylko nie zaczynaj znów o tej wodzie — powiedział Xidimingo.

Jeszcze byłam w stanie się uśmiechnąć. Każdy człowiek może czegoś nie wiedzieć. Ale biali po prostu chcą się swoją niewiedzą! Dla Portugalczyka sprawa była prosta jak drut. Człowiek zamienia się w wodę? Niemożliwe! Ciało rozkłada się po śmierci, obraca się w proch, a szkielet się rozsypuje. Nie miałam siły na dyskusję. Wzię-

łam garść piachu i przesypywałam go między palcami.  
— Tej nocy, z braku wanny, rozplnę się na tych piaskach...

To ostatnia noc w moim życiu. Wsiąknę w ziemię jak deszcz, rozproszona w tysiącach kropli. Portugalczyk nagle się przestraszył, potrząsnął mną i rzekł:

— Naozinha, masz całe nogi we krwi. Co ci się stało?

— Krwawią mi piersi, ten Mulat mnie pobił.

— Nie, Naozinha, to jest inna krew.

— Coś ty sobie zrobiła? - spytał Nhonhoso.

Nhonhoso wiedział. Jako czarny znał nasze sposoby.

Jakając się, wyjaśnił Portugalczykowi, że chodzi o samobójstwo. Był sposób, żeby mnie uratować. Jeden z nich musiałby się ze mną kochać.

— Ale czy to nie jest ryzykowne? Czy trucizna nie przejdzie na nas?

Dwaj starcy w milczeniu wymieniali obawy i zastrzeżenia. Spuścili oczy i milczeli. Wreszcie Nhonhoso uśmiechnął się. Powiedział białemu, że może być spokojny. On się tym zajmie. Na co Portugalczyk zaoponował:

— Ale to jest śmiertelnie niebezpieczne.

— Kto chce złapać szarańczę, musi pobrudzić się ziemią.

85

— Wiesz co, Nhonhoso? Ja to zrobię.

— Nawet o tym nie myśl, mulungo. Ja się tym zajmę.

Posprzeczali się. Czyżby obydwaj mnie pragnęli? Padały różne argumenty, a to, a owo. Jeden powoływał się na fakty, drugi na swoją rasę. Czarny powiedział:

— Prześpisz się z czarownicą, i już po tobie.

Na co Portugalczyk chwilę pomilczał. Próbował coś wyjąkać, aż wreszcie wyrzucił jednym tchem:

— Nie chciałem tego wyjawiać, ale...

Znów zamilkł, jakby zabrakło mu odwagi.

— Człowieku, mówże!

— Jakiś czas temu Naozinha zadarła przy mnie spódnicę. Wszystko widziałem.

Zrobiło mi się żal Portugalczyka. Nie rozumiał, czemu pokazałam mu gołe ciało. Xidimingo nie znał jeszcze wielu naszych tajemnic. Kiedy stara kobieta się obnaża i prowokuje mężczyznę, to znaczy, że jest rozgniewana. Mój gest, który Xidimingo odczytał jako zaloty, był po prostu wyrazem pogardy. Biedny biały, właściwie nie zasługiwał na to. Teraz za późno, żeby mu to wynagrodzić. Nie warto wyprowadzać go z błędu.

Koniec końców, spór zakończył się wygraną czarnego. Nhonhoso zalotnie wziął mnie za rękę. Wskazał na mój pokoik i spytał:

— Idziemy?

Dawno już zapomniałam sztuki cielesnych igraszek.

Ponadto peszyły mnie gadki Nhonhosa: „Ta mata jest tylko mata, gdy leży na niej jedna osoba. Ale kiedy leżą na niej kochankowie, mata staje się całą ziemią”. „Mówisz piękne rzeczy, Nhonhoso. Ale czy prócz tego robisz jeszcze piękne rzeczy?” Stary Nhonhoso dalej nawijał: „Weź-  
86

my takiego Navaic Caetana. Jest dzieckiem czy starcem? Posłuchaj, Naozinhito. Chyba nieraz widziałaś Mula-ta. No właśnie! Można być Mulatem z powodu rasy albo z powodu wieku. Ty jesteś staruszką-dziewczynką, moją małą”.

Jego słowa, szeptane prosto do ucha, były niesamowicie przekonujące. Że jestem jeszcze w kwiecie wieku, że jestem najpiękniejsza, najbardziej kobieca. Zrozumiałam, że starość nie daje żadnej mądrości, po prostu pozwala na inne szaleństwa. Moim szaleństwem było to, że mu uwierzyłam. Posuwaliśmy się coraz dalej, nasze ciała były już wolne od ubrań. Nagle Nhonhoso znieruchomiał.

— Boję się.

— Czego?

— Zawsze się bałem.

— A może cię popieszczę? — spytałam.

Jak powiedziałam, tak zrobiłam. Pogładziłam jego czułe miejsca. Uśmiechnął się i powiedział, że nie warto.

— Daremny trud. Zupełnie jak odrdzewianie gwoźdźcia.

Roześmialiśmy się. Życie to niezły kawał bandyty —

jego prawdziwy smak czujemy tylko w chwilach strachu

i niebezpieczeństwa. Właśnie teraz, gdy Nhonhoso otwie-

rał przede mną serce, zjawił się Vasto Excelencio. Wszedł

bez pukania i przyglądał się nam z szyderczym uśmiesz-

kiem:

— No, no, mamy tu zakochaną parkę!

Przegonił Nhonhosa kuksańcami i kopniakami.

— Wynoś się, stary capie!

Nhonhoso wyszedł. Wtedy Vasto zaczął udawać, że się

do mnie zaleca. Naśladował koguta uganiającego się za

87

kurą. Upokarzał mnie po zwierzęcemu. Udałam, że na-

brałam się na tę komedię i że apróbuję jego umizgi. Deli-

katnie położyłam mu ręce na ramionach, co sprawiło, że

przestał się miotać.

— Mam tu doskonałą wódeczkę...

Tego mu było trzeba. Napełniłam szklankę. Excelen-

cio pił, pił i pił, póki zawrót głowy nie zwałił go na zie-

mię. Dyrektor bredził od rzeczy. Wtedy położyłam się na

nim. Tak jak stałam, naga i wilgotna, przylgnęłam do nie-

go, zrosłam się z nim. Excelencio objął mnie ramionami.

Jego pocałunki były mokre od gorącej alkoholowej piany.

Plątały mu się różne imiona:

— Marta! Tina... moja Ernestina!

Swoją męską powinność spełnił we mnie. Zakończył

chrapliwym zwierzęcym pomrukiem. Odsunęłam się od

niego, chciałam jak najprędzej się umyć. Miałam wraże-

nie, że jego płyny są jadowitsze niż moja trucizna. W lu-

strze zobaczyłam, że piersi nadal mi krwawią. Kiedy się myłam, Mulat zaczął wrzeszczeć, domagając się więcej wódki.

Wróciłam do niego i powtórnie napełniłam szklankę.

Na brzegu został ślad mojej zatrutej krwi. Dyrektor nie zauważył czerwonego odcisku palca na szkle. Wychylił szklankę jednym haustem i klepiąc się po brzuchu, rozkazał:

— Nalej jeszcze, starucho!

Szklanka upadła, rozbijając się na kawałki. Ciało Vasta Excelencia zważyło się na potłuczone szkło.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Piąty dzień wśród żywych

Tego dnia Izidine wałęsał się to tu, to tam, mając bez przerwy przed oczami obraz czarownicy. Był wstrząśnięty jej przeraźliwą chudością. Mówiło się, że żywi się tylko solą. Czerpała wodę morską i wlewała ją w skalne zagłębienia. Po wyparowaniu wody wylizywała sól.

Ranek wstał wilgotny, ponieważ całą noc padało. Przejśniło się, gdy policjant słuchał jeszcze wyznań czarownicy. Czysty przypadek? Spacerując po dziedzińcu, usłyszał krzyki starców. Podszedł do nich. Pensjonariusze tłoczyli się wokół uroczynu. Navaia Caetano wspinał się na drzewo, zbierał włochate żyjątka i podawał je zebranym. Po deszczu, o tej porze roku, pnie drzew zawsze pokrywają się gąsienicami. Są to matumany. Starzy je zjadają. Nawet Izidine znał ten obyczaj. Pielęgniarka dołączyła do niego, też chciała obejrzeć widowisko. Policjant z satysfakcją oznajmił, że zna ten obyczaj.

- To są inne gąsienice - sprostowała.

- Możliwe, ale bardzo podobne.

89

— Tak ci się tylko wydaje. Zapytaj ich, jakie mają sny, kiedy zjedzą matumanę.

— Ty mi to powiedz.



— Oni by powiedzieli, że podczas snu motyle wylatują im oczami.

Dodaliby jeszcze, że gąsienice rosną w nich, przeobrażając się w mięsiste motyle, zrodzone z ich ciała. W miarę jak motyle wyfruwają przez oczy, stają się coraz bardziej chudzi i eteryczni, aż wreszcie zostają same kości. Na koniec tej opowieści stwierdziliby ze śmiechem, że to nie oni zjadają gąsienice, lecz one ich. Mleczne soki matuman wywołują w nich halucynacje.

— Mam nadzieję, że przynajmniej jedna osoba nie zje dziś tych gąsienic. Inaczej nie znajdziesz nikogo, kto mógłby złożyć zeznanie.

— A może to rozwiąże im języki? Chyba słyszałaś o eliksirze prawdy?

Marta Gimo uśmiechnęła się i przeprosiła, mówiąc, że musi wracać do swoich obowiązków. Policjant pomachał jej na pożegnanie i podszedł do drzewa. Zamierzał przyłączyć się do zbierających gąsienice. Kto wie, może tym sposobem zyska ich zaufanie? Lecz w chwili, gdy próbował złapać pierwszą matumanę, jakiś głos nakazał mu, by tego nie robił.

— Nie możesz podchodzić tak blisko...

— Dlaczego?

— Bo nie możesz...

Z przykrością usłuchał. Starzy go nie akceptowali. Nie mógł nawet zbliżyć się do nich. Czy zatem mógł się spodziewać, że się przed nim otworzą i powiedzą prawdę? Odpowiedź, choć oczywista, przygnębiła go. Zaszły się

90

w swoim pokoju, nie chcąc nikogo widzieć. Późnym popołudniem zjawił się u niego Nhonhoso. Zapukał do drzwi i nie czekając na odzew, wszedł i usiadł.

- Inspektorze, nie ufamy panu.

- Dlaczego? Bo jestem policjantem?

Nhonhoso wzruszył ramionami. Odpowiedział nieja-

sno, półsłówkami. Że w przytułku dzieją się różne rzeczy, że kraj stał się niebezpiecznym miejscem dla poszukujących prawdy. A ponadto istnieją inne względy, które oni, starzy, już rozważyli.

- Czy według was nie jestem dobrym człowiekiem?
- Ani dobry, ani zły. Po prostu nie istniejesz.
- Jak to nie istnieję?
- Czy jesteś obrzezany?

Inspektor nie był w stanie odpowiedzieć. Osłupiał.

A więc o to chodzi? A może to tylko wybieg, kolejna próba zamydlenia mu oczu? Tak czy inaczej, musi jakoś pokonać tę niespodziewaną przeszkodę. Był gotów poddać się ceremonii.

- Chcecie mnie obrzezać?

Stary roześmiał się. Inspektor jest na to zbyt dorosły.

Ale ceremonię trzeba odprawić. To warunek wejścia do rodziny, do plemienia najbardziej dorosłych. Jeśli policjant ma ochotę, to wszystko się może odbyć nawet tego wieczoru. Izidine zgodził się. Był zdesperowany, widząc, jak czas przecieka mu przez palce. Przypieczętowali zgodę. Nhonhoso wyszedł powiadomić innych, że trzeba przygotować rytuał.

Po kilku godzinach zastukali do jego drzwi. Weszli Nhonhoso, Mourao, Navaia. Zażądali od policjanta, żeby się rozebrał.

91

- Jednak chcecie mnie obrzezać? - spytał z niepokojem.
- Usiądź na środku.

Nhonhoso wyjął sukienkę Marty. Przytrzymali policjanta w pasie i włożyli mu przez głowę sukienkę. Policjant z niedowierzaniem patrzył na siebie przebranego za kobietę.

- Podczas tej uroczystości będziesz udawał kobietę.

Zaczęły się śpiewy, bicie bębnow, tańce. Nhonhoso zachęcał go, żeby tańczył i śpiewał po kobiecemu. Izidine

starał się, jak mógł. Starzy zaśmiewali się. Potem wyszli i policjant odprowadził ich na dziedziniec. Był zmęczony, więc korzystając z wieczornego chłodu, położył się na ziemi. Zamknął oczy, ale niebawem je otworzył. Rozbudziły go zbliżające się kroki. To była Marta. Przystanęła, zdziwiona strojem policjanta. Izidine usiadł, przetarł twarz rękami, przemógł wstyd. Opowiedział, co się stało. Marta wybuchnęła śmiechem.

- Zabawili się twoim kosztem. I kosztem mojej sukienki.

- Przepraszam, Marto.

- Chodź ze mną. Noc jest piękna, w sam raz na spacer dla dwóch kobiet.

Zatrzymali się przy uroczynie. Marta wskazała na światełka zapalające się na plaży, przy samej wodzie.

- To pochodnie. Starzy zapalają je, żeby łapać langusty.

Światełka pełzały po falach i czerwieńczyły spienione wody. Marta była w poetyckim nastroju. Powiedziała, że światło jest lżejsze od wody, więc jego refleksy ślizgają się po powierzchni niczym księżycowe ryby lub ogniste algi...

92

- Podobnie jak wspomnienia starców, które prześlizgują się po powierzchni czasu.

Inspektor zauważył jakiś wypukły przedmiot w kieszeni sukienki. Wyjął go i stwierdził, że to kolejna łuska. Pokazał ją pielęgniarce.

- Co to jest?

- To, drogi inspektorze...

- Mów mi po imieniu.

- A więc, Izidine, to jest łuska pangolina, czyli halavakumy...

- Tak, tak, już wiem. To ten, co przybywa z chmur, żeby przynieść nowiny dotyczące przyszłości?

- Widzę, że nie zapomniałeś naszych tradycji. Zobaczymy, czy nie zapomniałeś innych rzeczy...

Pogładziła go po twarzy, potem pieszczotliwie przesunęła mu ręką po piersiach. Czyżby rozpiniała mu sukienkę? Ten gest zachęcił go, by się do niej przysunąć. Pomyślał, że chce mu wyjawić jakąś tajemnicę. Zbliżyła twarz do jego ucha, ale zamiast słów z jej ust wydobył się dźwięk szumiącej morskiej muszli. Potem ręką nakłoniła go do położenia się.

- Czy starzy nas nie zobaczą?

Marta ze śmiechem obróciła się, by mógł się na niej położyć. Izidine troskliwie wsunął pod nią rękę.

- Zrób lepszy użytek z rąk, jest mi wygodnie.

Czy policjant zaznał już kiedyś takich słodczy? Ja sam, Ermelindo Mucanga, wcielony w kochanka, nagle poczułem, że rozpływam się na sam widok tych pieszczot. Prawdą jest, że kochałem się w Marcie Gimo. Jednakże „nieproszonemu gościowi” nie wolno mieszać się w sprawy żywych. Dlatego całkowicie się wyłączyłem, tracąc po-  
93

czucie rzeczywistości i samego siebie. Było już ciemno, gdy Izidine wstał. Odsunął się od pielęgniarce, przeciągnął się, poprawił sukienkę. Popatrzył w dół, na plażę. Pochodnie zniknęły.

— Starych już nie ma na plaży.

— Teraz są tam.

Marta wskazała na gwiaździste niebo. Policjant zapatrzył się w migocące gwiazdy, wyobrażając sobie, że to pochodnie trzymane przez starców. Milczał, rozleniwiony, aż wreszcie Marta spytała:

— Wiesz, czego najbardziej nienawidziłam w tym Mucalacie?

— W kim?

— W Excelenciu.

— Co to było?

— Po śmierci Salufa Tuca poprosiliśmy, żeby zabrali ciało i pochowali w Maputo. Kolejny raz ten Mulat odmówił.

Marta widziała, że helikopter lata w tę i z powrotem. Przywoził skrzynie i wracał pusty. Wiele razy prosiła o zabranie chorych. Excelencio zawsze odmawiał.

— Po prostu bali się.

— Ale czego?

— Tego, że w mieście ktoś na nich doniesie...

Inspektor bardzo się tym zainteresował. Może za bardzo. Poświecił jej w twarz latarką. Chciał wiedzieć, co to za „oni” i o jaki donos chodzi. Pielęgniarka odwróciła twarz.

— Nigdy tego nie zrozumiesz. To, co tu się dzieje, to zamach stanu.

— Zamach stanu?

94

- Tak. Tym właśnie pan policjant powinien się martwić.

- Zamach tu, w fortecy? Doprawdy, Marto... - Zdumiony Izidine roześmiał się.

- Nie tylko tu, w fortecy, ale w całym kraju. To zamach na nasze odwieczne tradycje.

Marta Gimo kolejny raz prowokowała go. Tym razem policjant nie dał się wciągnąć w dyskusję. Niech mówi dalej. Marta rzeczywiście kontynuowała:

— Trzeba zachować przeszłość. Inaczej kraj straci grunt pod nogami.

- Godzę się na wszystko. Chcę jedynie wiedzieć, kto zabił Vasta Excelencia. Tylko to.

Na tym rozmowa skończyła się. Inspektor zamierzał wrócić do swojego pokoju, ale zatrzymał go wybuch śmiechu Marty. Rozbawił ją widok poważnego, odpowiedzialnego mężczyzny w kobiecym stroju.

Izidine zamachał rękami, obrócił się dookoła i głęboko

się skłonił. Marta podeszła, by się z nim pożegnać. Rozwi-  
nęła jakieś papiery i podała mu.

— Przeczytaj to.

— Co to jest?

- List. Przeczytaj.

— Czyj list?

— Ernestiny.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### List Ernestiny

Jestem Ernestina, żona Vasta Excelencia. A właściwie wdowa po Excelenciu. Piszę te słowa w przeddzień wy-  
jazdu do miasta. Ci, którzy jutro mnie stąd zabiorą, dziś wypełniają sobie czas przetrząsaniem fortecy. Nigdy nie znajdą ciała mojego męża. Po zakończeniu poszukiwań zabiorą mnie ze sobą. Wyjadę jako osoba zdyskredytowa-  
na, trawiona niemocą duchową. Nie oczekują ode mnie zeznań. Ani nawet uczuć. To dobrze, że znalazłam się na uboczu. Niech nikt nie zwraca na mnie uwagi, niech mnie mają za głupią. Sama nie wiem, po co ani do kogo piszę ten list. Ale chcę pisać, chcę przebić się przez mur, który mnie otacza. Przez wiele lat żyłam wśród starych lu-  
dzi, którzy czekają jedynie na rychłą śmierć. Ale śmierć jest głucha, nie słucha nikogo.

Vasto umarł nagle i w tajemniczych okolicznościach.

Nawet nie miał pogrzebu. Może to i lepiej, bo oszczędzo-  
no mi obłudnej ceremonii żałobnej. Ze śmiercią spotykam się nie po raz pierwszy. Mój jedyny syn zmarł przy poro-  
dzie. Potem już nie mogłam mieć dzieci. Kiedy spadło na

96

mnie to nieszczęście, byłam w separacji z Vastem. Myś-  
lałam, że to definitywne rozstanie. Vasto został oddelego-  
wany do Sao Nicolau, gdzie miał kierować przytułkiem.  
Nie chciałam mu towarzyszyć. Nasz związek rozpadł się.  
Kolejne rozczarowania wyczerpały mnie psychicznie. Ale  
po śmierci syna byłam słaba, zagubiona. Dlatego postano-

wiłam pogodzić się z Vastem i pojechać do niego. Mówi się, że kobieta patrząca na śmierć dziecka ślepnie. Dzisiaj to rozumiem. Nie chodzi o to, że przestaje widzieć przedmioty. Taka kobieta przestaje widzieć czas, jej przeszłość staje się niewidzialna i tym samym nie boli.

Podczas wojny najbardziej cierpiałam z powodu tego, czego nie widziałam na własne oczy. A działy się straszne rzeczy! Mówiono mi, że na polu walki Vasto zachowuje się niemoralnie, identycznie jak wrogowie, których sam nazywał szatanami. Dochodziły do mnie słuchy o masakrach, które działy się jakby w innym świecie. Jakby wszystko było snem. A sny są jak chmury — można zachować sobie tylko ich cień. Przemykające po ziemi cienie — to wszystko, co miałam. Słuchałam tego, co szeptano o mężu. Płakałam. Zawsze płakałam podczas jedzenia. Pożywienie mieszało się ze łzami i już sama nie wiedziałam, co właściwie dławi mnie w gardle. Moje życie nabrało słonego smaku. Dlatego chcę jak najprędzej znaleźć się daleko od tutejszych plaż i na zawsze zapomnieć posmak morskiej bryzy.

Po przyjeździe do fortecy na własne oczy przekonałam się o podłości męża. Excelencio handlował rzeczami stanowiącymi zaopatrzenie przytułku. Pensjonariusze nie mieli dostępu do podstawowych produktów żywnościowych i byli coraz bardziej wymizerowani. Czasem mia-

97  
łam wrażenie, że umierają nadziani na własne kości. Vasto był obojętny na ich cierpienie.

— Jak możesz to robić, przecież słowo „lud” nie schodzi ci z ust...

- Starzy przywykli do tego, że nie jedzą. Teraz jedzenie mogłoby im nawet zaszkodzić — mawiał.

Jak to się stało, że Vasto tak nisko upadł? Z początku kochałam tego mężczyznę. Jego ciało było moją ojczyzną. Miłość podsuwała mi dla niego różne pieszczotliwe imio-

na. Ale on o tym nie wiedział. Na zawsze pozostały moją tajemnicą. Nie byłam pewna, czy doceni te ozdobniki, w które stroiła go moja czułość. Gdy po raz pierwszy poczułam chęć odejścia od Vasta, jeszcze się łudziłam. Byłam jak rzeka, która tylko pozornie oddala się od źródeł.

Z czasem jednak przekonałam się, kim naprawdę jest Vasto. Navaia ma rację, mówiąc, że człowiek niczego nie odkrywa. Wszystko wychodzi na jaw samo przez się. Czas odsłonił prawdziwą twarz tego mężczyzny. Niech Bóg mi wybaczy, ale przestałam go kochać. A nawet więcej — zaczęłam go nienawidzić. W owym czasie szukałam jeszcze uzasadnienia dla swojej wściekłości. Dziś już nie potrzebuję żadnego powodu, żeby nienawidzić.

Próbowałam go usprawiedliwiać. Przecież Vasto walczył na wojnie. Uczestniczył w akcjach, o których wolałabym nie wiedzieć. Patrzył na śmierć wielu ludzi. Być może pod wpływem takich scen zgasła w nim ostatnia iskra dobroci. Co za dziwna kolej rzeczy! Konflikt zbrojny spowodował masowe ucieczki ludzi. Z moim mężem było na odwrót. Wojna uciekła w niego, schroniła się w jego sercu. Jak teraz wyrwać z niego tę zbrodniarkę?

Na wojnie Vasto Excelencio poznał Salufa Tuca, który

98

potem został naszym służącym. Salufo jeszcze w czasach kolonialnych służył w wojsku. Był to dziwny człowiek, chodząca poczciwość. Nikt by mu nie dał tyle lat, ile naprawdę miał. Choć musiał mieć po siedemdziesiątce, wyglądał na pięćdziesiąt i miał młodzieńczą energię.

Robił sobie ubrania ze ścinków różnych tkanin, z byle jak pozszywanych szmat. Taki strój przywracał mu pamięć o wczesnej młodości. Wspominał pierwsze zarobki, które otrzymywał jako pomocnik krawca. Jego pracodawca, Hindus, nie płacił mu pieniędzmi, lecz skrawkami materiału. Czy dzięki tym ubraniom Salufo wracał do utraconego raju dzieciństwa? Nie wiem. Kiedyś go o to



spytałam, ale zaprzeczył. Odpowiedział tak: czy wąż może powtórnie wejść w skórę, którą zrzucił? Nie wiem, co zaszło w czasie wojny, ale Salufo był dziwnie przywiązany do Vasta. Stał się jego prawą ręką. To właśnie on rozładowywał towary przywożone przez helikoptery. Starcy, ciekawi zawartości skrzyń, zawsze chcieli pomagać. Ale Excelencio nigdy na to nie pozwolił. Tylko Salufo mógł to robić. Na własnych plecach przynosił skrzynie do zamkniętego na siedem spustów magazynu. Mieści się on w dawnej fortecznej kaplicy. To niegdyś święte miejsce teraz stało się po stokroć bardziej święte. Dawna kaplica, zamieniona w magazyn towarów, jest obwarowana mnóstwem zakazów. Nikt nie ma tam wstępu prócz Excelencia oraz Salufa Tuca, o ile szef mu zezwoli. Nietrudno było to zrozumieć. Vasto nie chciał, by ktokolwiek wiedział, ile naprawdę ma żywności, koców i mydła. Lepiej niech oczy nie widzą, czego ręce nigdy nie tkną. Salufo wykonywał u nas prace domowe. Lubiłam jego towarzystwo. Jego zwaliste ciało kryło szlachetną duszę.

99

Salufo często mi się zwierzał. Bez przerwy użalał się nad pensjonariuszami. Mówił, że na wsi starym żyje się znacznie lepiej. Rodzina się o nich troszczy, słucha ich i szanuje. To do nich należy ostatnie słowo w najważniejszych sprawach. Kiedy Salufo wspominał dawne czasy, jego twarz dziecińniała. Pod koniec popadał w melancholię. Pewnego dnia wyznał mi, że zamierza uciec. Zmartwiłam się, że stracę nie tylko służącego, ale i przyjaciela. On jednak był nieugięty. Poprosił tylko, żeby nie mówić nic mężowi. Mimo szczerego smutku obiecałam, że go nie wydam.

— Ale jak się przedostaniesz przez zaminowane drogi?

— Jestem żołnierzem, znam tajniki wojny. Wiem, jak się zakłada i rozbraja miny.

Planował zabrać ze sobą wszystkich pensjonariuszy,

którzy mieli dość przytułku. Już się z nimi potajemnie kontaktował. Większość chciała uciec. Tylko kilka osób odmówiło. Może bali się ryzyka? A może przeczucie śmierci kazało im godzić się z nędznym losem? W miarę jak zbliżał się termin ucieczki, ogarniała mnie coraz większa trwoga. Mrzonka Salufa mogła spowodować śmierć wielu uciekinierów. Zawołałam go i poprosiłam:

— Salufo, nie odchodź ot tak sobie. Musisz się jakoś przygotować.

— Co mam zrobić, proszę pani?

— Zastanawiałam się nad tym. Idź do Naozinhi, niech pobłogosławi tę podróż.

— Jak to? Pani, portugalska Mulatka, wierzy w takie rzeczy?

— Wierzę, Salufo.

Przystał na moją propozycję chyba tylko dlatego, żeby  
100

mi sprawić przyjemność. Po południu udał się do czarownicy. Nie wiem, co między sobą uzgodnili. Wiem tylko, że wieczorem Naozinha zjawiała się u mnie. Ujęła mnie za obie ręce i ku mojemu zdziwieniu, poprosiła:

— Ernestino, nie pozwól mu odejść. Chodzi o to, że... wcale nie jestem czarownicą.

— Nie jesteś?

— Nigdy nie byłam. Nie mam żadnej nadprzyrodzonej mocy.

Wyglądała żałośnie, ale w jej głosie nie wyczułam najmniejszej słabości. Próbowałam ją pocieszyć:

— Masz taką moc, ja to wiem.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Kobiety wiedzą takie rzeczy.

Naozinha pokręciła głową. Nie wiem, czy nie zgadzała się z tym, co powiedziałam, czy też negowała swoją zakłamaną przeszłość. Podczas gdy grupa uciekinierów czyniła ostatnie przygotowania, Naozinha modliła się, błą-

gając cichutko:

— Salufo, nie odchodź, zaklinam cię na rany Chrystusa!

Ale Salufo postanowił odejść wraz z innymi. Czyniąc zadość prośbie czarownicy, poczekał tylko, aż zapadnie noc. Naozinha powiedziała mu, że nie powinien wyruszać w podróż o zmierzchu. Gdy nadeszła noc, Salufo stanął na czele grupy starców, pomachał laską i zniknęli w ciemności. Uciekinierzy pożegnali przytułek dziwnym „ouooh”. Potem dowiedziałam się, że naśladowali hukanie puszczyka. To miał być zły znak dla Vasta Excelencia.

Całą noc nie mogłam zasnąć, tak się denerwowałam.

101

Obawiałam się, że lada moment usłyszę eksplozję. Jeśli któryś z uciekinierów nadeptnie na minę, huk rozniesie się po całej sawannie. Wszyscy się dowiedzą. Byłam tak zaabsorbowana nasłuchiowaniem, że nawet nie zauważyłam nieobecności Vasta. Zaskoczyłam go, gdy wracał na palcach, prawie o świcie. Przestraszył się, gdy zobaczył, że siedzę na werandzie.

- Tina?! Co tu robisz?

- Nic. Nie mogłam zasnąć.

- Ja... poszedłem sprawdzić...

- Przestań, Vasto, nic nie mów. O nic nie pytam.

Noc minęła bez żadnego incydentu. Starzy przeszli przez zaminowaną strefę. Zamknęłam się w swoim pokoju, obojętna na wszystko i wszystkich. Marta odwiedziła mnie kilka razy. Ale nie miałam jej nic do powiedzenia. W milczeniu trzymała mnie za rękę. Patrzyłyśmy sobie w oczy jak ktoś, kto kontempluje toń oceanu.

Po dwóch miesiącach Salufo wrócił. Był smutny, obdarty. Wszedł i zadomowił się bez słowa. Najpierw zajrzał do komórki, która była jego sypialnią, potem przystąpił do codziennych prac, jak gdyby nigdy nic. Spytałam

go, co się stało. Nie odpowiedział. Wynajdywał sobie jakieś zajęcia, które zajmowały mu sporo czasu. Dopiero pod koniec dnia zaczął mówić. Był bardzo rozżalony. Świat, tam na zewnątrz, zmienił się. Już nikt nie szanuje starych ludzi. Wszędzie to samo, czy to w przytułkach, czy poza nimi. W innych domach starców sytuacja jest jeszcze gorsza niż w Sao Nicolau. Żołnierze i krewni zjawiają się tam tylko po to, żeby kraść żywność. Starzy, którzy dawniej wyczekiwali na odwiedziny, teraz nie chcą nikogo widzieć.

102

- Przecierpieliśmy wojnę, musimy teraz przecierpieć i pokój.

Salufo rozwinął tę myśl następująco: na całym świecie bliscy, odwiedzający starców w przytułkach, przekazują im pozdrowienia, żeby ich pocieszyć. W naszym kraju jest na odwrót. Rodzina odwiedza starych po to, żeby kraść im żywność. Do pazernych krewnych dołączyli żołnierze i nowe władze. Wszyscy zabierają starym jedzenie, mydło, ubrania. Istnieją organizacje międzynarodowe, które dają pieniądze na wsparcie opieki społecznej. Ale te pieniądze nie docierają do starych ludzi. Teraz każdy zachowuje się jak to przysłowiowe koźle, które żywi się tam, gdzie jest uwiązane.

Gdy Salufo opowiedział to wszystko przyjacielom z przytułku, ci nie chcieli uwierzyć. Mówili, że zmyśla, żeby ich odwieść od ucieczki, na co Salufo odpowiadał tak: jesteście skórką pomarańczy bez odrobiny mięszu. Nowe władze wszystko już wycisnęły. Teraz jeszcze wyciskają skórkę, żeby sprawdzić, czy czasem nie ma soku. Po pewnym czasie Salufo przestał wracać do tematu ucieczki. Nie chciał więcej wspominać tego, co się wtedy wydarzyło. Rozumiałam go. Najpierw, dzięki kłamstwu, został przygarnięty w domu siostrzeńców. Oświadczył im, że jest człowiekiem majątnym. Skłamał, bo chciał, żeby

młodzi zajęli się nim. Potem zamiast kłamstwa wybrał kąk w przytułku. A kiedy miał dość tego wszystkiego, zdecydował się na powrót do Sao Nicolau.

- Już wolę, żeby poniewierał mną Excelencio... I żeby pani mnie potem pocieszała - dodał z lekkim uśmiechem. I co dalej, Salufo, co teraz zamierzasz robić? Powin-  
nam była zadać to pytanie, ale wolałam milczeć. Po co go  
103

dręczyć? Salufo chyba odgadł moje myśli. Wstał i powiedział:

— Byłem żołnierzem. Wie pani, co zrobię?

Przedstawił mi niezwykle plan: ponownie zaminuje teren wokół fortecy. Użyje min, które są usuwane z drogi.

— Oni rozminowywują. Ja zacznę zaminowywać.

Nie wierzyłam własnym uszom. To wszystko było tak nierealne, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Spytałam więc, w jaki sposób zaopatrzy się w materiały wybuchowe.

— Już trochę zgromadziłem, ukradłem. Nikt mnie nie widział. Oni tam wykopują, a ja będę na nowo zakopywać tutaj.

— Ależ, Salufo...

— Teraz dopiero to będzie prawdziwa forteca!

— Chyba zwariowałaś!

— Nie, proszę pani. To oni są wariatami.

— Ale po co? Po co zaminowywać?

— Poznałem tamten świat. Nie chcę, żeby nas tu nachodzili.

— Ale... przecież nikt tu nie dociera.

— Na pewno się zjawią, pani Tino, jak tylko w mieście zabraknie im szmalu.

Dobrze wiedziałam, o czym mówi Salufo. Mieszkałam w mieście i napatrzyłam się na chciwość nowobogackich. Teraz wszystko było dozwolone, każdy rodzaj oportuni-  
zmu i perfidii. Wszystko przemieniało się w szmal, masę konsumowaną, przeżuwaną i trawioną w pęczniejących

kałdunach. A obok zatrważająca nędza.

Salufo Tuco chciał zamknąć drogę przyszłości. Jak powiedział, tak zrobił. Całym sercem oddał się tej dziwnej misji. Mówił mojemu mężowi, że idzie do buszu, żeby

104  
zebrać trochę jakiejś zieleniny, trochę chińskiej róży dla Naozinhi. Wydawało się, że Vasto mu wierzył. Albo udawał. To była śmiertelna gra. Pewnego dnia Salufo zostanie rozerwany na kawałki. Salufo machał tylko ręką, kiedy Vasto udawał, że go ostrzega.

— Szefie, jestem odporny na miny. Niech pan nie zapomina, że kiedyś byłem naparamą\*.

Każdego dnia nad ranem, zanim wzeszła jutrozenka, wychodził z workiem i motyką.

— Idę coś zasadzić, ziemia się gniewa, jeśli nic nie uprawiamy. Pola cierpią, kiedy leżą odłogiem.

Vasto Excelencio, z rękami w kieszeniach, patrzył z rozbawieniem na oddalającego się sługę. Salufo zwykle odwracał się i powtarzał swoje:

— Taka jest prawda, szefie. Przyczyną naszej nędzy jest zemsta ziemi.

Pewnego ranka obudził mnie głos Vasta. Było jeszcze szaro. Mój mąż był w komórcie Salufa i beształ go. Wstałam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przerwałam ich kłótnię:

— Vasto, co się stało?

— Ten skurwysyn otworzył magazyn.

Mąż kazał mi wyjść. To, co nastąpi, nie jest dla kobiet.

Rzeczywiście nie było. Nie zważając na moją obecność,

Vasto złapał starego za łachmany i zapytał, co ukradł.

Salufo nie zdążył nawet odpowiedzieć. Vasto z całą siłą trzasnął go pięścią w twarz. Salufo upadł. Vasto zaczął go wściekle kopać. Ciało Salufa podskakiwało w rytmie ciosów.

Vasto nie panował nad sobą. Krzyczałam, błagałam, Naparama - tradycyjny wojownik, wyposażony jedynie w łuk i strzały.

Uważa się, że dzięki czarom nie imają się go kule {przyp. tłum.}).

105

żeby przestał. Wreszcie przerwał bicie i wyjąkał, ciężko dysząc:

— Zaraz sprawdzę, co zabrałeś. Popamiętasz mnie, skurwysynu!

Salufo Tuco nie umarł na miejscu. Gdy Excelencio zostawił go rozciągniętego na ziemi, jeszcze oddychał, ale jego ciało było bezwładne. Poprosił, żebym wezwała starszków. Natychmiast po nich pobiegłam. Gdy zebrali się wokół niego, poprosił o coś, co ich bardzo zaskoczyło:

— Przywiążcie mnie do wiatraka!

Przez chwilę wahali się, byli w rozterce. Salufo często mówił o młynie wiatrowym. Pełen zachwytu śledził wzrokiem ruch wirujących skrzydeł i mawiał: ten wiatraczek to całkowicie ręczna robota. Z powodów dla mnie niezrozumiałych starzy spełnili jego prośbę i wnieśli go na górę. Nie wiem, jak udało im się pokonać schody, dźwigając ten żywy balast. Przywiązali go do skrzydeł wiatraka, rozkrzyżowali mu ręce i nogi, wszystko tak jak sobie życzył. Teraz pod samym niebem czekał na podmuch wiatru. Ale od wielu dni nie było nawet bryzy.

Nie wiem, czy to czary, czy zwykły przypadek, ale w tej samej chwili zerwał się wiatr i skrzydła wiatraka zaczęły się obracać. Salufo kręcił się wraz z nimi niczym wskazówka zegara. Z niepokojem patrzyliśmy, jak wiruje na tej karuzeli. Ale on sam chyba dobrze się bawił. Wybuchnął śmiechem, kiedy zwisał głową na dół. Minął jakiś czas i Salufo zamilkł. Oczy miał szeroko rozwarte. Wydawało mi się, że zemdłał. Wiatr nagle ustał. Salufo tkwił nieruchomo jak flaga. Niebo, którego tak pragnął, jakby zstąpiło w jego oczy. Wtedy zjawił się Vasto Excelencio. Wracał z magazynu, był rozwścieczony. Pienił się ze zło-

106

ści. Oczy zaiskrzyły mu się gniewnie, kiedy zobaczył Sa-

lufa przywiązanego do wiatraka. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego zawieszony wysoko człowiek tak bardzo go irytuje. Z wrzaskiem rozkazał, żeby go odwiązać i znieść na dół.

Tak też się stało. Kiedy złożyli go na ziemi, już nie żył. Excelencio wyładował swoją frustrację, atakując leżące ciało. Potem odszedł, klnąc. Przez chwilę wahałam się, czy pójść za nim, ale Salufo bardziej zasługiwał na moją lojalność. Dołączyłam do staruszków, którzy otoczyli zmarłego kołem. Z lękiem pochyliłam się nad nim. Zauważyłam, że nieboszczyk dziwnie się nam przygląda. Jakby wszystko w nim umarło z wyjątkiem spojrzenia. Tak jest, jego oczy były żywe. Starzy patrzyli z niedowierzaniem. Tylko Nhonhoso nie okazał zdziwienia.

- Przecież są też żywi o martwych oczach.

Miał na myśli niewidomych. A skoro tak, to mogą też istnieć zmarli o żywych oczach. Skierowałam rozmowę na inny temat. Były pilniejsze sprawy.

- Co z nim zrobimy?

Starzy wahali się, jak postąpić z nieboszczykiem. Wygląd Salufa rodził podejrzenie, że pod popiołem może tlić się żar. Skąd można mieć pewność, jak naprawdę z nim jest? Zaczęli machać mu przed oczami, mówić do niego, opowiadać dowcipy. Aż wreszcie zabrali go, żeby pochować w jakimś odległym miejscu. Ja zostałam. Tkwiłam nieruchomo, jakby zatrzymywała mnie sama ziemia. Przez jakiś czas słyszałam jeszcze wybuchy śmiechu Salufa. Było to zapewne echo czasu.

Później dowiedziałam się, że w miejscu, gdzie został pochowany, z głębi ziemi dochodzi brzęczenie much. Wi-

107  
docznie muszyska zostały zakopane razem z Salufem.

Każdy, kto tamtędy przechodzi, słyszy owady brzęczące pod ziemią. Inni znów mówią, że to Salufo Tuco chrapie w swoim ostatecznym łożu.



Muszę kończyć. Słyszę już głosy tych, którzy idą po mnie. Kończąc to pismo, zamykam się w nim. To mój ostatni list. Mój głos już wcześniej pograżył się w milczeniu. Teraz zamilkną ręce. Warto coś mówić tylko wtedy, gdy mamy nadzieję na jakieś zauroczenie. Niechby i bolesne, jak moja miłość do Vasta. Teraz już nie jestem zdolna do uczucia. Skryłam się w sobie, uczę się bycia fortecą. Po napisaniu tylu linijek już wiem, komu zostawię ten list. Marcie Gimo. Jest ostatnią osobą, która mnie wysłuchała. Niech więc jej oczy będą świadkiem mojego pożegnania z ostatnim słowem. Teraz będę śnić siebie samą.

Tina

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z powrotem w niebie

Tej nocy, kiedy Izidine spał, zostałem wezwany przez pangolina.

Wyrwany z nienacka z mojego gospodarza, wróciłem do samotnej, głębokiej mogiły. Minęło kilka chwil, nim dostosował mi się wzrok. Wreszcie zobaczyłem pangolina. Leżał zwinięty, jakby spał.

- Ja miałbym spać? Budzę się wcześniej niż jutrzienka.

Pangolin rozprostował się i bez żadnego wstępu wypalił:

- Zgódź się, Ermelindo. To wszystko jest bardzo niebezpieczne.

Chciał mnie przekonać, żebym definitywnie wrócił do grobu. Powinienem opuścić świat żywych i pozwolić, żeby zrobili ze mnie bohatera.

- Zostań bohaterem, będą ci zawracać głowę tylko raz do roku.

Pobyty wśród żywych może ściągnąć na mnie same nieszczęścia. Jak wiadomo, antylopa zginęła, gdy chciała się

upewnić, co widzi. Zostań, Ermelindo, pogódź się z tym miejscem wiecznego spoczynku. A niech sobie robią z ciebie fikcyjnego bohatera. Co ci to szkodzi? Bierz przykład z jeżozwierz. Czyż kolce nie zapewniają mu spokoju? Czyż to zwierzę kłuje się własnymi kolcami?

Usiadłem w grobie. Wziąłem stary młotek. Zacząłem walić w ziemię. Nie, nie mogę tu wrócić. Świat żywych jest niebezpieczny? Przecież dobrze o tym wiem. A ponadto niewiele brakuje do końca wędrówki w ciele inspektora. Jego los jest przesądzony, a dni policzone. Była jeszcze jedna rzecz, której nie mogłem wyznać pangolinowi. Chodziło o przyjemność bliskiego obcowania z kobietą. Marta Gimo dawała mi złudzenie powrotu do czasów, kiedy kochałem pewną nierealną postać. W grobie nie miałem dostępu do pamięci. Nie mogłem mieć snów. Teraz, przebywając w ciele żywego, wszystko sobie przypominam, jestem wszechpamiętny. Zupełnie jakbym wrócił do życia, odbywszy podróż tam i z powrotem.

Na przykład doskonale przypominam sobie hałas obrabianego drewna. Jakby wróciły czasy, kiedy pracowałem w fortecy. Codziennie wczesnym rankiem zaczynałem ciąć drewno na deski, przerabiając je na kwadraty okien lub prostokąty drzwi. Pewnego dnia — dobrze pamiętam ten dzień — otoczyło mnie kilku robotników. Chwycili mnie za ramiona i z wrogością spytali:

— Nie wstyd ci, że budujesz więzienie dla braci?

Jacy bracia? Ci, których nazywali braćmi, nie byli moimi krewnymi. Byli rewolucjonistami, partyzantami. Zwalczali portugalską władzę. Nie obchodziły mnie te konflikty. Byłem wychowankiem misji katolickiej. Tam

110  
ukształtowano mój charakter oraz stosowne oczekiwania i nadzieje. Zostałem wychowany w obcym języku, nie w ojczystym. Zawsze ciążyło mi bezustanne rozmijanie

się słowa z ideą. Potem nauczyłem się nie chcieć od życia niczego ponad mój marny los. Jedynym prezentem, jaki mi ofiarowano, był strach. Teraz niech mi dadzą święty spokój.

Jednak robotnicy coraz bardziej na mnie naciskali. Oni tylko udawali, że pracują. W rzeczywistości utrudniali i hamowali roboty. Ja jeden traktowałem poważnie remont przyszłego więzienia. Dlatego zarzucali mi, że jestem zdrajcą, katem sprawiedliwych. Śmiałem im się w nos. Niech sobie przypomną Jezusa. Czy ktoś pamięta cieślę, który zrobił krzyż? Czy ktoś go o to obwinia? Nie. Grzeszna była tylko ręka, która wbiła gwoździe w przeguby Pana.

- Albo przestaniesz walić tym młotkiem, albo rozwalimy ci łeb.

Milczenie też jest mową. Przemilczałem to. Popatrzyłem na tych kmiotków. Przypominali mi pająki. Owe ogromne pająki, które po śmierci stają się tyciutkie. Uśmiechnąłem się pogardliwie. Jeden z nich zaczął się odgrażać:

- Zdrajcy zostaną ukarani. Ty też drogo zapłacisz.

Wróciłem do swojej klitki, w której zawsze panowały ciemności. Jak zwykle zamknąłem się. W moim pokoiku nie było żadnych tkanin. Przez drzwi i drewniane okiennice nie docierał nawet promień światła. Tej nocy nie mogłem dojść do siebie. W pamięci ożyły wszystkie stare smutki i zalałem się gorzkimi łzami. Płakałem, ale właściwie dlaczego?

111

Następnego ranka poszedłem do majstra. Przyjęła mnie żona i kazała poczekać, bo mąż jadł śniadanie. Byłem jednak tak zdenerwowany, że wtargnąłem do pokoju. Moja prośba bardzo go zaskoczyła.

— Szefie, nie chcę więcej pracować w fortecy.

Podąłem pierwszą lepszą wymówkę. Że w piersiach

mam pełno trocin. Że pył wyżera mi płuca, jakbym był górnikiem. Że więcej kaszlę, niż oddycham. Majster zgodził się. Przesunął mnie do pracy na plaży. Przy skalistym brzegu budowano przystań. W niedalekiej przyszłości miały tam przyplłynąć statki pełne więźniów. Będą mogły cumować dopiero wówczas, gdy wyjdziemy poza skalny falochron. Całymi dniami zbijałem deski, powiększając pomost. Na dzwonek kończący pracę wszyscy się rozbiegali. Zostawałem sam i patrzyłem na świetlisty taras morza. Ogarniało mnie krzepiące złudzenie, że moje życie nie jest stracone. Po prostu - raz jest przyptyw, a raz odpływ.

W tym czasie zaczął mnie odwiedzać najdziwniejszy i najśłodszy gość. Za pierwszym razem mało nie umarłem z przerażenia. Podczas snu poczułem dotyk jakiejś ręki. Czyżby to zamach na moje życie? Ale nie. Intruz obsypywał mnie gorącymi pieśczołami. Czulem jego oddech, wibrujący w powietrzu. Jego usta wędrowały po mojej skórze, jakby ucząc się moich kształtów. Potem leciutko ugryzł mnie w szyję. Nie miałem pojęcia, kto to może być. Starał się nie pokazywać twarzy. Potem ta zjawka osunęła się na mnie, objęła ramionami. Przytuliła się do moich pleców, czulem wszystkie jej krągłości. Piersi, brzuch, pośladki. Nic na świecie nie jest tak krągłe jak kobiece pośladki. Jej ciało stało się moją kołyską, moim odpływem,

112

moją przystanią. Anonimowa kochanka bardzo często u mnie bywała. Spędziliśmy ze sobą tak wiele nocy, że jej usta znały mnie na pamięć.

Po pierwszej nocy ogarnęła mnie obsesyjna potrzeba odkrycia, kim jest moja kochanka. Przez jakiś czas sądziłem, że to żona majstra. Przemawiała za tym nie tylko jej sylwetka, ale i nerwowe zachowanie męża. Czyżby odkrył jej miłosne eskapady? Nigdy się tego nie dowiedziałem.

Pewnego dnia żona majstra zaczęła mnie. Zauważyła, że źle wyglądam. Czy aby nie za dużo pracuję? A może zzerają mnie namiętności? Uśmiechała się przy tym szelmowsko. Bąknąłem coś niewyraźnie. Powiedziała uspokajająco:

— Nie przejmuj się, Ermelindo. Mężczyźni zawsze kochają ułudy, uganiają się za kobiecymi zjawami. Tej nocy nie mogłem się doczekać swojego gościa. Teraz już byłem pewien jej tożsamości. Wreszcie weszła i rozplynęła się w ciemności. Dotyk jej rąk sprawił, że przeniknął mnie elektryzujący dreszcz. Wiedziałem, co dalej będzie, więc nadstawiłem szyję. Czekałem na jej usta, zęby, język. Kobieta zwlekała z pieszczotą. Wreszcie poczułem na uchu gorący, wilgotny oddech, a po chwili wściekle ukąszenie w szyję. Tym, co mnie najbardziej zaskoczyło, był mój własny krzyk. Nie wiem, czy krzyczałem tak bardzo, jak chciałby mój gość. Bo ostatnim gościem, co zbyt późno zrozumiałem, był mój oprawca. Tę jedyną, którą za życia kochałem, zapamiętałem jako kobietę o obfitych kształtach, ale bez twarzy. Czasem nachodzą mnie wątpliwości, czy to nie była kobieta-xipoco. Czy nie to mnie zabiło. Z kolei teraz, kiedy sam jestem

113

xipoco, zakochałem się w istocie z krwi i kości. W Marcie Gimo. Pielęgniarka stała się ucieleśnieniem tej, która niegdyś nawiedzała mnie po nocach. Jakby zawsze była nią, wypisz, wymaluj. Marta wskrzeszała pamięć o wyblakłej zjawie, a to wspomnienie, niczym podziemne zwierzę, odgrzebywało mi w piersiach drugie serce.

Pangolin wysłuchał moich zwierzeń. Czy domyślał się, że coś opuściłem? Rozprostował się jeszcze bardziej i powiedział:

— Wybieraj, bracie. Czym chcesz być: kretem czy rakiem?

Bał się, że straci moje towarzystwo. Dlatego ostrzegał:

— Uważaj, Ermelindo. Serce, które kocha, powiększa się. Ale miłość rośnie szybciej niż tors. Czy masz dość mocne żebra?

Wtedy zaczęliśmy się kłócić. Za kogo ten pangolin się uważa? Jest tak wiekowy, że sam nie wie, co mówi. Z jego magiczną mocą też chyba nie jest najlepiej. Ostatnim razem, kiedy był na ziemi, znalazł się w takich tarapatach, że stracił mnóstwo łusek.

— To nic takiego, po prostu światło mnie oślepia. Znałem jego argumentację. Zaczynamy uczyć się świata, będąc jeszcze w łonie matki. Zanim się urodzimy, jeszcze w krągłości brzucha, uczymy się widzieć. Kim więc są ślepcy? To ci, którzy nie zdążyli się nauczyć. Gaudanie pangolina! Znałem to na pamięć.

Gdy po śmierci leżałem w grobie, byłem wewnętrznie ślepy. Nie widziałem swojej przeszłości, nie miałem żadnych wspomnień. Nie chodzi o fizyczną ślepotę. To było znacznie gorsze. Byłem jak pies, który stracił węch. Są rzeczy, których się uczymy, żeby odciąć się od naszej  
114

zwierzęcości. Te nauki przychodzą z wielkim trudem, lecz o tym się nie pamięta. Jedną z rzeczy, które się nam wpaja, jest to, że zęby nie służą do kłania. Ale dzięki tajemniczej kochance przekonałem się, że zęby mogą być zarówno aksamitem, jak i nożem. Ukąszenie ostatniej nocy było dla mnie definitywną lekcją śmierci.

Trzymany w ręce młotek zaczął mi ciążyć. Nadeszła chwila wyboru. Postanowiłem powrócić na stronę życia i znów wejść w Izidine'a Naftę. Polubiłem tego młodzieńca, to przyzwoity człowiek. Wrócę do życia, bez względu na to, co powie pangolin.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Zeznanie Marty

Winny, którego szukasz, mój drogi Izidynie, nie jest

człowiekiem. Zawiniła wojna. Ona ponosi całą winę. To ona zabiła Vasta. Ona rozdarła świat, w którym starcy zajmowali poczesne miejsce. Ci, którzy tu gniją za życia, przed wojną byli kochani. Świat ich akceptował, rodziny skupiały się wokół seniorów. Późniejsza przemoc zmieniła ten stan rzeczy. Starzy zostali wygnani z naszego świata i z naszej świadomości.

Pewnie zastanawiasz się, co mnie trzyma na tym odludziu. Zawsze wydawało mi się, że znam odpowiedź. Teraz mam wątpliwości. Głównym powodem mojego pobytu w tym ustroniu jest przemoc. Wojna tworzy inną miarę czasu. Nasze życie nie jest już mierzone latami, porami roku, zbiorami, klęskami głodu czy powodziami. Wojna wprowadza krwawy cykl przemocy. Zaczynamy mówić przed wojną, po wojnie. Wojna połyka martwych i zżera ocalałych. Nie chciałabym być niedobitkiem przemocy. Tu, w fortecy, starzy wskazali mi inny życiowy ład. Uświadomili mi, że życie można odmierzać marzeniami. Ich małe mrzonki stały się nowymi murami mojej fortecy.

116

Był taki czas, kiedy miasto jeszcze mnie pociągało. Próbowałam się tam zadomowić. Ale cierpiałam na chorobę, dla której nie ma nazwy. Czułam się tak, jakbym oduczyła się podstawowych czynności, takich jak słuchanie, patrzenie, oddychanie. Kiedyś wydawało mi się, że mogłabym zmienić świat. Teraz już z tego zrezygnowałam. Świat jest organizmem, który żyje dzięki swojej chorobie. Żywi się zbrodnią, karmi się amoralnością. Weźmy twoją sytuację w policji. Czy nie zastanawiasz się, kiedy zostaniesz zarażony chorobą przekupstwa? Wiesz, o czym mówię — kupione śledztwa, sprzedajni agenci. Odebrali ci śledztwo w sprawie handlu narkotykami. Przenieśli cię z sekcji narkotyków. Dlaczego? Sam dobrze wiesz. Z jakiego powodu wysłali cię tutaj, daleko od tego całego zgiełku? W porządku, zmieniam temat. Zresztą miałam

opowiadać o sobie.

Spójrz na ten zrujnowany budynek. Kiedyś był tam szpital. Pracowałam w nim. Dostawałam lekarstwa z miasta. Ale kilka tygodni po moim przyjeździe przytułek został zaatakowany. Bandyci wdarli się do środka, plądrując i zabijając. Podpalili szpital. Zginęły dwie starszki. Reszta ocalała, a wiesz dzięki komu? Zdziwisz się, drogi Izidynie. Dzięki dyrektorowi. Jesteś zaskoczony? Tak, to Vasto Excelencio odważnie skoczył w płomienie i uratował pozostałych chorych. Z budynku zostały tylko osmalone mury. Po tej tragedii byłam załamana. W dodatku dowiedziałam się, że głównym powodem ataku byłam właśnie ja, Marta Gimo. Bandyci chcieli mnie porwać i zabrać do swojego obozu. Długo nie mogłam dojść do siebie po tym wydarzeniu. Właściwie do tej pory nie mogę się otrząsnąć. Wojna zostawia rany, których żaden czas nie zablizni.

117

Poprosiłam Excelencia, żeby sprowadził nowe wyposażenie. Chciałam otworzyć ambulatorium w swoim pokoju. W tym czasie już przestałam sypiać w budynku. Okazało się jednak, że helikoptery, które latały w tę i z powrotem, nie mają takiej możliwości. Vasto mówił, że są inne priorytety. Straciłam szansę na to, żeby odżyć. Nowy gabinet podniósłby mnie na duchu. Bez ambulatorium i bez lekarstw odechciało mi się żyć. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo potrzebowałam tej pracy. To był mój szpitalik, tam spełniałam dobre uczynki. Zrozum: zostałam wychowana w zasymilowanej rodzinie. Pochodzę z Inhambane, moi przodkowie dawno stracili afrykańskie imiona. Jestem wnuczką pielęgniarzy. Ten zawód zbliżył mnie do rodziny, którą dawno straciłam. Praca pielęgniarki wcale nie jest łatwa. Na początku niewiele brakowało, żebym zrezygnowała. Kiedy wchodziłam do sali chorych, czułam zawsze zapach zgnilizny. Pytałam o źródło tych zapachów. Starzy wskazywa-



li na jamę ustną. To miał być zapach poduszki nasączonej śliną ciekącą w nocy z bezzębnych ust. W pierwszej chwili uwierzyłam. Ale potem odkryłam, że przyczyna jest inna. Źródłem zapachu były resztki jedzenia chowane pod poduszkę. Chronili je przed kradzieżą. Starzy tak bardzo fantazjowali, że czasami zmyślali jedzenie, którego wcale nie mieli pod poduszką.

Coś ci powiem. Te wszystkie historie, które zapisujesz w zeszycie, są pełne kłamstw. Ci starcy kłamią. Jeśli nadal będziesz okazywać im zainteresowanie, jeszcze więcej nakłamią. Od dawna nikt się nimi nie interesuje. Takim samym kłamcą był Salufo, który twierdził, że rodzina go kocha. Ale wcale tak nie było. Udawał bogatego, żeby za-

118  
skarbić sobie ich miłość. Z kolei Naozinha wymyśliła sobie, że jest czarownicą. W końcu jednak zaczęła wątpić w swoją moc. Ja też ratowałam się kłamstwami, traktując je jako powłokę ochronną, którą jednak od czasu do czasu trzeba zrzucić.

Dawno temu, zanim trafiłam tutaj, zostałam zesłana do obozu poprawczego. Oskarżono mnie o złe prowadzenie się oraz nadmierny pociąg do mężczyzn i flaszki. Żaden z moich kolegów ze szpitala nie stanął w mojej obronie.

Dzisiaj, drogi inspektorze, mogę powiedzieć, że życie jest jak papieros. Ja osobiście lubię tylko popiół z wypalonego papierosa. Kiedy odbywałam karę w obozie, seks, alkohol i narkotyki sprawiły, że staczałam się coraz niżej. Nie obchodziła mnie przyszłość. Żyłam teraźniejszością. Latanie nie zależy od skrzydeł. Czyż koliber o maluteńkich skrzydłach nie lata najdoskonalej ze wszystkich?

W takich okolicznościach spotkałam Vasta Excelencia. Był dobrze ustawiony i obiecał wyciągnąć mnie stamtąd pod warunkiem, że będę pracować jako pielęgniarka

w przytułku. Tym sposobem znalazłam się tutaj, w forticy. Z początku bardzo doskwierało mi to wygnanie. Oprócz pracy w ambulatorium nie miałam czym wypełnić sobie czasu. Ciężyło mi to do tego stopnia, że przestałam mieć sny. Nawiedzały mnie jedynie koszmary. Miałam uszkodzony jakiś organ wytwarzający substancję sennych marzeń. Byłam chora, choć na nic nie chorowałam. Moja przypadłość była z rodzaju tych, na które cierpi tylko Bóg. Objawiało się to tak: najpierw przestałam się śmiać, potem śnić, a na koniec mówić. Były to kolejne fazy smut-

119  
ku, zapadania się w wilgotną studnię rozpacz. To samo przydarzyło się Ernestinie. Chwileczkę, o niej za chwilę. Chcę tylko, żebyś zrozumiał rozpaczliwą pustkę, która wówczas ciążyła nad moim życiem.

Wtedy właśnie zakochałam się w Excelenciu. Miłość jest lekiem, ale na nią samą nie ma lekarstwa. Pewnego dnia zjawił się i zobaczył mnie zapłakaną. Wytarł mi twarz. Nie wiem, czy znasz takie powiedzenie: kto ociera kobiecie łzy, zostaje przywiązany supłem chusteczki. Ja i Vasto zaczęliśmy spotykać się w nocy. Z początku wydawał mi się fałszywy, jak morski błękit, którego przecież w morzu nie ma. Ale wszystko ma swoje pogmatwane sekrety. Mam na myśli wodę, morze. Co ja mogę o nich wiedzieć? Jedyne ptaki, spoglądające z innego błękitu, znają prawdziwy kolor morza. Wyrażam się niejasno? Chodzi o to, że kiedy zbliżyliśmy się do siebie, Vasto był pogrążony w rozterce. Z kolei ja sama czułam się zagubiona, zgorzkniała i bezwartościowa. Vasto był rozczarowany życiem. Najlepsze lata poświęcił rewolucji. A co z tej utopii zostało? Na początku nie przywiązywano wagi do tego, jak kto wygląda. Potem zaczęli mu wytykać kolor skóry. To, że jest Mulatem, stało się przyczyną zesłania do Sao Nicolau. Był rozgoryczony, nie akceptował siebie samego. Miał kompleksy z powodu swojego pocho-

dzenia, swojej rasy. W owym czasie jeszcze nie wiedziałam, że prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy Mulatami. Tyle że u niektórych jest to bardziej widoczne. Vasto Excelencio źle znosił kolor swojej skóry. Wiele mówił na temat rasy innych ludzi. Szczególnie lubił karać biednego Domingosa. Chciał pokazać, że nie preferuje białych. Maltretowanie innych stało się jego racją bytu.

120

Mimo wszystko kochałam go. Przyznaję się do tego, nie bądź zazdrosny. Pociągał mnie. Pociągała mnie jego seksualność i anielskość, chłopięcość i męskość. Czy był przystojny? To nie ma nic do rzeczy. Co komu po urodzie? Mężczyzna powinien dawać poczucie pełni życia. Tego właśnie chcę. Chcę czuć się małą istotką, gwiazdą na niebie, ziarnkiem piasku. To znaczy kiedyś tego chciałam. To było dawno temu, kiedy jeszcze postrzegałam mężczyzn, podobnie jak ptaki postrzegają chmurę: miejsce, które można przemierzyć, ale nigdy tam zamieszkać. Byłam wtedy bardzo młoda. Vasto obdarzał mnie dziwnymi pieścizotami. Zanim mnie dotknął, prosił, żebym płakała. Spijał moje łzy, jakby to były ostatnie krople wody na świecie. To było źródło, z którego czerpał otuchę. Bardziej niż moje ciało. Teraz, kiedy już nie płaczę, rozumiem Vasta. Łzy nas obnażają. Płacz obnaża naszą najskrytszą nagość.

Aż wreszcie zaszłam w ciążę. Moje ciało, w tajemnicy, nosiło w sobie inne ciało. Nie chciałam nikomu o tym mówić. Nie obnosiłam się z brzuchem, nie było nic widać. Ale, ku mojemu zdumieniu, pewnego dnia zjawiała się u mnie Ernestina i spytała:

— Kiedy to nastąpi?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wyglądało na to, że Ernestina zna nie tylko ten sekret, ale i całe moje najbardziej prywatne życie. Spojrzała mi głęboko w oczy, bez odrobiny złości. Tylko kobieta potrafi tak patrzeć. Nie

wiedziałam, gdzie podziąć oczy. Jak wytrzymać wzrok Ernestiny? Otworzyłam się przed nią ze szczerością dziennika nastolatki. Powiedziałam:

— Pozbędę się tego dziecka.

121

— W jaki sposób?

— Jestem pielęgniarką, wiem, jak to zrobić.

Pogrążyłam się w milczeniu. Cóż mogłam powiedzieć w takiej chwili? Żona dyrektora pochyliła się nade mną, jakby chciała zrobić mi coś złego. Czyżby zamierzała ukarać mnie za lekkomyślność? Ale tak nie było. Po prostu uklękła i przyłożyła mi dłoń do brzucha. Trwała tak jakiś czas, w stanie rozmarzenia.

- Czy bardzo widać? — spytałam.

- Ja zauważyłam, jeszcze przed faktem.

Potem poprosiła błagalnie:

— Daj mi to dziecko.

Ernestina wzięła mnie za rękę. Przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie, nie ma co się wahać, muszę usunąć ciężę. Pokręciłam głową na znak, że nie spełnię jej prośby. Ernestina wstała z uroczystą miną. Wyglądała tak, jakby właśnie przyjęła komunię. Patrzyłam na nią ze zdumieniem. Już wcześniej zauważyłam jej dziwactwa. Miała zwyczaj całymi godzinami przesiadywać w cieniu uroczynu. Modliła się? Rozmawiała z Bogiem? A może po prostu czekała na lepsze czasy? Dawniej ja też się modliłam, nawet bardzo. Potem przestałam. Człowiek modli się gorliwie, a mimo to zawsze dni jest więcej niż chleba.

Po chwili Ernestina znów mnie zaskoczyła. Zrozumiała, że ani myślę zostać matką. Krążyła po pokoju, jakby czegoś szukała. Potem stanęła przede mną i zaczęła rozpinać bluzkę.

- Patrz!

Wyzywająco obnażyła bujne piersi. Był to ekscytujący

pokaz piękna. Podniecała się, głaszcząc sobie sutki. Po-  
122

tem jej dłoń przesunęła się po piersiach i powędrowała na  
brzuch. Pieściła się sama ze sobą. Podeszła do mnie  
i zniżając głos, oświadczyła z naciskiem:

— Dziecko musi ssać pierś tej oto Mulatki. Moją pierś.  
Tak jak stała, nie zapinając bluzki, trzasnęła drzwiami  
i wyszła. Po jej wyjściu odjęło mi mowę. W ustach zawsze  
panuje półmrok. Ale mnie ogarnął głęboki mrok. Do wie-  
czora tkwiłam w stanie całkowitego odrętwienia. Wresz-  
cie zjawił się Vasto Excelencio. Był bardzo poważny. Za-  
miast przywitania powiedział:

— Wszystko wiem.

W przeciwieństwie do Ernestiny nie okazał mi ser-  
deczności. Był powściągliwy, zasepiony. Udawał czy też  
wreszcie pokazał, jaki naprawdę jest? Czy rosa udaje  
perły? Vasto bez wahania przeszedł do sprawy. Z tym  
brzuchem trzeba natychmiast coś zrobić. Skoro jest tutaj  
jedynym sprawnym mężczyzną, podejrzania padną na  
niego. Bo któż inny mógłby być ojcem? A więc biedny Va-  
sto może stracić posadę i inne korzyści. Uśmiechnęłam się  
bezzadnie. Vasto wpadł do wody, ale chciałby wyjść suchy.  
Mężczyzna jest tylko mężczyzną? A może po prostu nie  
ma nosa bez smarków? Ani się spostrzegłam, jak zalałam  
się łzami. Miałam nadzieję, że Vasto się schyli, żeby je  
spijać. Ale nie. Nigdy więcej nie ugasił pragnienia z tego  
źródła.

W nocy odwiedziła mnie Naozinha. Ona też już wie-  
działa, że jestem w ciąży. Była rozanielona i oznajmiła  
z uśmiechem:

— Teraz już nie muszę udawać. Będę mogła karmić  
prawdziwe dziecko.

Ułożywszy ręce w kolebkę, zaczęła natychmiast wpra-  
123

wiać się do kołysania dziecka. Patrzyłam na nią tępym,

zamglonym wzrokiem. Mój stan, słowa Naozinhi, wszystko razem wydawało mi się nierealne.

Naozinha zasiedziała się i usnęła na krześle. Nie mogąc odzyskać ładu wewnętrznego, zaczęłam robić porządki w pokoju. Nagle czarownica obudziła się. Była przestraszona, potrząsała głową, odpędzając złe przecucia.

— Nie możesz mieć tego dziecka, nie możesz!

Po tych słowach wybiegła z pokoju. Zostałam sama.

Miałam mętlik w głowie, zupełnie nie wiedziałam, co robić. Kogo powinnam posłuchać?

Vasta, który martwi się tylko o siebie? Naozinhi z jej czarnymi przecuciami? Czy Ernestiny, która chce stać się matką dla mojego dziecka? Prawdę mówiąc, w fortecy nie było warunków na rodzenie dzieci. Z drugiej strony, wcale nie miałam ochoty stąd wyjeżdżać. Przywiązałam się do tego miejsca, które niegdyś przeklinałam. Siłą nawyku zawsze godziłam się z losem, unikając przez to gniewu bogów. Byłam zagubiona, niezdolna do podjęcia decyzji, więc zostawiłam ciężę własnemu losowi.

Życie naprawdę potrafi płatać figle. Zamiast Vasta zaczęła mnie odwiedzać Ernestina. Przynosiła jedzenie i słodczy własnej roboty. Radziła, żebym odpoczywała i jadła zupy. Zachowywała się tak, jakby to było jej dziecko, jakby mój brzuch rósł w jej własnym ciele. Kiedyś powiedziałam jej o swoich wątpliwościach. Jeszcze był czas, żeby usunąć płód. Przestraszona Ernestina zła-pała się za głowę.

- Nie! Nie rób tego!

„Nie rób tego” — powtarzała, chwyciwszy mnie za rękę.

124

Wyrwałam rękę i przytrzymałam jej twarz. Ernestina powtarzała to w kółko, jednym tchem. Musiałam podnieść głos:

— Ale Vasto nie chce tej ciąży!

— Nic mu do tego. Dziecko, które nosisz, jest moje, kochałaś się ze mną, nie z Vastem. Rozumiesz? To jest nasze dziecko, tylko nasze.

Byłam przerażona jej słowami. Chciałam jak najprędzej skończyć tę rozmowę. Powiedziałam szorstko:

— Vasto jest ojcem. Muszę się z nim liczyć.

Oprzytomniała, jakby ktoś nią potrząsnął. Spuściła głowę, toczyła jakąś wewnętrzną walkę. Po chwili, odgarniając włosy z czoła, oświadczyła:

— Jeśli dziecko umrze, umrze i Vasto!

Siła, z jaką wypowiedziała te słowa, dodała mi otuchy.

To nie były jałowe obietnice. Ernestina nie miała już zgarbionych pleców. Przybrała postawę królowej. Władczym ruchem położyła mi rękę na ramieniu i rzekła uspokajająco:

— Nie martw się, oddaj mi to dziecko. Zabiorę je daleko stąd i dobrze je wychowam.

W następnych miesiącach byłam zajęta wyłącznie swoim coraz bardziej krągłym brzuchem. Im bardziej przypominał księżyc w pełni, tym więcej głupstw plotła Ernestina. Twierdziła, że też jest matką. Zażywała specjalne witaminy. Przygotowywała się do porodu, ćwicząc oddech. Haftowała ubranka. Zwracając się do mnie, myślała zarazem o sobie.

— My, matki!

W rezultacie stała się rzecz nie do wiary — brzuch Ernestiny też zaczął rosnać. To była prawdziwa ciąża czy

urojona? Tam, skąd pochodzę, podobne wątpliwości kwituje się pytaniem: czyż wycie psa rozlega się za dnia?

Vasto, czekając na helikopter, chodził posepny, z papierosem w ustach. Chciał odesłać rozegzaltowaną małżonkę. Ernestina mówiła już całkiem od rzeczy. Helikopter przyleciał i wsiadłyśmy obydwie. W mieście umieszczono nas w dwu różnych szpitalach.

W przeddzień porodu miałam dziwny sen. Odwiedzili mnie starcy z przytułku. Przynieśli kwiaty uroczynu. Sta-  
nęli wokół, jakby zamierzali czuwać przy zmarłym. Na-  
ozinha oparła ręce na moim łóżku i opowiedziała ostatnie  
wydarzenia.

— Wczoraj w fortecy stało się coś niezwykłego. Ni stąd,  
ni zowąd niebo przesłoniły nietoperze. Wylatywały w po-  
płochu z magazynu, w którym Vasto Excelencio ukrywa  
swoje towary. Wampiry, szare niczym twarz nieboszczy-  
ka, omroczyły świat. Zupełnie jakby słońce się zaćmiło.  
Ocierały się o domy, obnażając zęby i szczęki. Ich skrzyd-  
ła huczały jak miniaturowe helikoptery bojowe. Przestra-  
szeni starcy pochowali się. Wtedy nietoperze zaatakowały  
jaskółki. Pożerały je w powietrzu. Ich łupem padło tyle  
ptaszków, że zewsząd kapiała krew. Fruwające w powie-  
trzu pióra miękko opadały na ziemię. Wydawało się, że to  
chmury się pierzą. Tego dnia spadło z nieba tyle krwi, że  
zabarwiło się całe morze.

Gdy się obudziłam, zobaczyłam siedzącego przy mnie  
lekarza. Wziął mnie za rękę i powiedział:

- Bardzo mi przykro! Zrobiliśmy wszystko, co w na-  
szej mocy.

Tamtej nocy straciłam dziecko. Ernestina straciła dru-  
gie dziecko. Popatrzyłam na swoje ciało, już wolne od  
126

brzemienia. Czyżby bogowie spełnili moje skryte pragnie-  
nie, by nie zostać matką? Nagle przestraszyłam się, bo  
przywidziało mi się, że coś leży na pościeli. Były to białe  
kwiaty uroczynu. Ukojona ich wonią, zasnęłam.

Gdy wróciłam do fortecy, zastałam wszystko po stare-  
mu. Obojętność Vasta. Szaleństwo Ernestiny. Życzliwość  
starców, którzy przyjęli mnie tak, jakbym naprawdę była  
matką. Musiałam nauczyć się powstrzymywać łzy, kiedy  
nazywali mnie mamusią. Oni też nauczyli mnie, jak za-  
bliźnić ranę, która okaleczyła mi zarówno macicę, jak



i duszę.

Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego sypiam pod gołym niebem. Chodzi o to, że w moich stronach kobiety w żałobie muszą spać na świeżym powietrzu. Dopóki nie zostaną oczyszczone ze śmierci. Ale w moim przypadku żadna woda nie zmyje plamy śmierci.

Pewnego dnia, kiedy już trochę doszłam do siebie, postanowiłam odwiedzić Ernestinę. Leczenie w szpitalu niewiele dało. Właśnie przestała mówić. Wypowiadała się tylko na piśmie. Zamykała się w zaciemnionym pokoju. Papier był jej jedynym oknem. Pisała listy. Ten, który ci dałam, był ostatni. Przekazałam ci te kartki z takim samym drżeniem serca, z jakim teraz powierzam ci swoje słowa. Jakbym zdejmowała powijaki okrywające nasze wspólne dziecko. Moje i Ernestiny.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Objawienie

To była ostatnia noc. Marta przyszła po policjanta. Gdy jej twarz pojawiła się w uchylonych drzwiach, powiało świeżością. Przed wejściem spytała:

— Dzisiaj ja zeznaję?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do siedzącego inspektora i pociągnęła go za rękę.

— Chodź!

Poprowadziła go kamienistą ścieżką do swojego pokoju. Przed drzwiami gwałtownie się odwróciła. Pocałowała go leciutko. Przesunęła palcami po jego wargach, jakby rzeźbiąc na ich wypukłości znak pożegnania. Potem otworzyła drzwi. W środku byli wszyscy pensjonariusze: Navaia Caetano, Domingos Mourao, Naozinha, Nhonhoso. Policjant wszedł i natychmiast się cofnął.

— Co tu się dzieje?

Mourao zrobił gest nakazujący milczenie. Czarownica wstała z krzesła. Była ubrana w rytualne szaty. Ach, więc

o to chodzi! Inspektor zrozumiał, że trafił na obrzęd ja-  
128

snowidztwa. Naozinha podeszła do niego i wsunęła mu  
coś w dłoń.

— To już ostatnia.

Izidine stwierdził, że to jeszcze jedna łuska pangolina.  
Czarownica kazała mu usiąść. Stała przed nim, zamknęła oczy i zaczęła się kołysać. Po jakimś czasie powiedziała:

— Sam halavakuma powinien tu przybyć z nieba.

Ale w dzisiejszych czasach nie umie już mówić językiem ludzi. Naozinha ubolewała, że odeszliśmy od tradycji, przez co straciliśmy kontakt z wysłannikami niebios. Zostały jedynie łuski, które halavakuma zgubił podczas ostatniego upadku z nieba. Naozinha zebrała je przy termitierze. To były ostatnie ślady po pangolinie, ostatnie znaki z zaświatów. Każdej nocy jedna z tych łusek pracowała nad duszą inspektora. Czarownica kazała mu się położyć na ziemi, w zasięgu jej czarodziejskich rąk. Posypała go łuskami pangolina: oczy, usta, ręce, uszy. Izidine leżał nieruchomo, słuchając kolejnych objawień. Różne wypowiedzi przeplatały się ze sobą, starcy mówili tak, jakby to była wyuczona lekcja. Naozinha, zachłystując się słowami, ciągnęła swoją przemowę.

— Wie pan, jak zachowuje się halavakuma? To stworzenie zwija się w kłębek, żeby chronić pozbawiony łusek brzuch. Rozprostowuje się dopiero w nocy, pod osłoną ciemności. Inspektor powinien nauczyć się takiej ostrożności. Powinien z większą rozwagą prowadzić dochodzenie. Ale tak nie jest. Dlatego spłoszył prawdę. I co teraz robi? Teraz przypomina dzika umykającego z podniesionym ogonem. Niech pan uważa, inspektorze. Tam, w Ma-  
129

puto, szykanują pana. Czy nie przenieśli inspektora do innej sekcji? Nie grozili mu? Dlaczego inspektor nie ko-

rzysta z nauki pangolina? Dlaczego się nie zwija, żeby chronić wrażliwe części ciała? Pan o tym nie wie, ale oni pana nienawidzą. Za to, że uczył się pan w kraju białych, że potrafi pan radzić sobie w zwariowanej powojennej rzeczywistości. Ten nowy świat jest pana światem, umie pan stąpać po błocie, nie brudząc nóg. Oni muszą obuwać się w kłamstwo i oblekać w zdradę. Prawda jest taka: musi pan odejść z policji. Jest pan zdrowym owocem na spróchniałym drzewie. Fistaszkiem w worku pełnym szczurów. Pożrą pana, zanim narobi im pan kłopotów. Pańscy kole-dzy żerują na przestępstwie. Jest ono jak trawa, którą się przycina nie po to, żeby uschła, ale żeby lepiej rosła. Żal nam pana, bo jest pan głupim człowiekiem. To znaczy dobrym człowiekiem. Wyciągnęli pana z żabiego bajora, a pan się wpakował w bajoro krokodyli.

Wydawało się, że Naozinha nie mówi ustami, lecz całym ciałem. Miała konwulsje, spieniona ślina spływała jej po szyi. W pewnej chwili spazmatycznie się zacięła. Słuchacze zamarli, wyczekując z napięciem tego, co jeszcze ma do powiedzenia.

- Uwaga! Widzę krew!
- Krew?! — zdumiał się policjant.
- Oni się tu zjawiają. Żeby pana zabić.
- Mnie? Kto mnie zabije?
- Zjawiają się jutro. Inspektor już zaczyna tracić cień.

Drgawki stawały się coraz szybsze, jakby jej ciało płonęło żywym ogniem.

- To będzie jutro. Morderca, już go widzę. To pilot.

Ten sam, z którym pan przyleciał helikopterem. On pana

130  
zabije. Nie z własnej woli. Dostał rozkaz: zgładzić pana. Izidine, Izidine, wdepnąłeś w gniazdo os. Ta forteca to składnica śmierci.

Czarownica, złapawszy drugi oddech, zaczęła stopniowo wyjawiać fakty związane z morderstwem dyrektora.

Prawdziwy powód tego zabójstwa był jeden: handel bronią. Excelencio ukrywał resztki uzbrojenia z czasów wojny. Trzymał je w kaplicy. Jedynie Salufo Tuco miał dostęp do magazynu. Forteca zamieniła się w zbrojownię. Z początku starzy nic nie wiedzieli. Wiedział tylko Salufo.

Ale pewnego dnia sekret się wydał. Przestraszeni starcy zebrali się na naradę. Ta broń była zarodkiem nowej wojny. W kaplicy przechowywano zarzewie piekła, które już wszystkim dało się we znaki. Dlatego postanowili, że pod osłoną nocy otworzą magazyn i pozbędą się broni. Dogadali się z Salufem. Najpierw zamierzali wykopać dół. Ale Naozinha była temu przeciwna.

- Ziemia to nie jest miejsce na grzebanie broni.

Zdecydowali więc, że wrzucą broń do morza. Do skrzyń przywiązali kamienie, które miały pogrążyć je na wieki. Zrzucili kilka skrzyń ze skał. Ale broń była bardzo ciężka, ponad ich siły. Poza tym trudno było ukryć przenoszenie skrzyń, nawet pod osłoną nocy. Starzy znaleźli się w ślepych zaułku — ani wrzucić do morza, ani zakopać. Jak więc pozbyć się tego arsenału? W takiej sytuacji niełatwo coś wymyślić. Tylko Naozinha mogła temu zaradzić. I stało się, co się stało. Pewnego razu zwróciła się do staruszków zapytaniem:

- Czym jest dziura pozbawiona dna?

- Pustką samą w sobie.

131

Czarownica wyjaśniła, że nie wystarczy wyrzucić broni. Nigdzie nie ma dość miejsca, by ukryć całe to żelastwo splamione krwią.

— No to co mamy zrobić?

— Chodźcie za mną, chłopaki.

Czarownica poprowadziła ich do kaplicy. Otworzyła drzwi jednym skrobnięciem paznokcia. Starzy widzieli gest Naozinh i do dziś nie mogą w to uwierzyć. Ściągnęła

z ramion capulane i rozłożyła ją na posadzce kaplicy. Położyła na niej wyjętego z torby kameleona. Spacerujący po chuście gad kilka razy zmieniał kolor, przewracał oczami, aż wreszcie zaczął puchnąć. Nadymał się, nadymał, aż zrobił się jak piłka. Nagle pękł. Wtedy światem wstrząsnął grzmot, a na ziemię spłynęła cała ciemność nagromadzona w chmurach. Staruszkowie kasłali, odganiając pył rękami. Ich oczom ukazał się niesamowity widok: tam, gdzie była posadzka, teraz znajdowała się dziura bez dna, pustka w próżni, nicość w niebycie.

Natychmiast wzięli się do roboty. Zaczęli wrzucać broń do przepaści. Gdy skończyli, jeszcze bardzo długo słyszeli huk zderzającego się żelastwa. To dochodzące znikąd echo broni, lecącej w pozaziemską próżnię, słychać do dziś.

Pewnego dnia helikopter wrócił. Przyleciał po broń. Grupa umundurowanych mężczyzn opuściła maszynę i udała się do magazynu. Staruszkowie obserwowali to z daleka. Przyjezdni otworzyli drzwi magazynu i natychmiast kilku wpadło w przepaść, znikając w bezdennej czeluści. Pozostali wycofali się w osłupieniu. Kto wykopał tę pułapkę? Gdzie podziała się broń?

Podnieśli straszny raban. Podejrzewali Vasta. Zapro-

132  
wadzili go do domu. Po chwili rozległy się strzały. Zabili Excelencia. Ciało rzucili na skały, przy samej plaży.

— To oni zamordowali Vasta Excelencia. Ci sami, którzy teraz chcą zabić inspektora. Jutro się tu zjawią, żeby pana zabić.

Naozinha przestała mówić i z wyczerpania osunęła się na ziemię. Izidine Nafta poszedł do siebie i przez całą noc coś pisał. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Jednak tego, co masz na piśmie, diabeł nie zliże. W życiu można być pewnym tylko śmierci. Wszystko inne stoi pod znakiem zapytania. Dotyczyło to również losu biednego Izi-

dine, który przez całą noc trzymał w jednej ręce pióro, a w drugiej rewolwer. Wyglądał opłakanie, drzemał z głową na papierach. Wreszcie usnął.

Ze snu wyrwał go szelest przy drzwiach. Skoczył na równe nogi i wycelował broń. To była Naozinha. Trzymała w rękach zardzewiałą puszkę. Podeszła do niego w milczeniu. Rozpięła mu koszulę. Zanurzywszy palce w żółtawym tłuszczu, zaczęła go smarować.

— Namaszczę pana olejem z wieloryba.

Nacierając piersi Izidine'a, mówiła:

— Wieloryb jest wielki, ale ty staniesz się większy niż wszystko inne. Oni wrzucą cię do morza. Będą pewni, że twoje ciało roztrzaska się o skały i nic z niego nie zostanie. Ale śmierć nie będzie mogła wziąć cię w objęcia. Będziesz nieuchwytny jak ogień. Fale cię uniosą i wyrzucą w miejscu, gdzie nie dociera żadna łódź. To tam, gdzie morze wpada do rzek. Gdzie palma wyrasta z wody, zakorzeniona w głębokich koralowcach. Zamienisz się w wodną istotę i będziesz większy niż jakakolwiek podróż. Mówi ci to Naozinha, kobieta-woda. Będziesz tym, który śni, lecz nie

133

pyta, czy to prawda. Będziesz tym, który kocha i którego nie obchodzi, czy tak powinno być.

Izidine Nafta nie widział tego, ale ja, ukryty w nim xipoco, obserwowałem czarownicę jeszcze wtedy, gdy zamknęły się za nią drzwi. Wyglądała tak, jakby czuła się winna. Szła ze spuszczoną głową. W pewnej chwili zatrzymała się. Popatrzyła na puszkę, która miała uchronić policjanta od złego. Obróciła ją w palcach, wzruszyła ramionami i wyrzuciła.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Ostatni sen

Pełen rezygnacji gest Naozinha sprawił, że podjąłem decyzję. Opuszczę ciało inspektora. Nie mogłem pozwolić, żeby ten młody człowiek umarł, żeby spotkał go los,

który przecież znałem. Wołałem wrócić do grobu i nawet zostać fikcyjnym bohaterem.

Tego ranka wyszedłem z ciała Izidine'a Naity. Po raz drugi pojawiłem się na świecie, tym razem jako materialna zjawia. W pierwszej chwili poraziła mnie ogromna światłość. Wszystko migotało milionem lśnień. Potem jasność stopniowo się ustatkowała. Popatrzyłem na świat, wokół wszystko rodziło się na nowo. Wyszeptałem łamiącym się głosem:

— Ziemia, moja ojczysta ziemia!

Choć wyniszczona i poszarzała, dla mnie była miejscem wyjątkowym. Moje serce nie zostało przecież pogrzebane. Zawsze było tutaj i co jakiś czas zakwitało uroczynem. Dotknąłem drzewka, zerwałem kwiat, powąchałem. Przeszedłem się po tarasie, napawając oczy widokiem oceanu.

Przypomniały mi się słowa pangolina:

135

- W tym miejscu ziemia się rozbiera, a czas układa się do snu.

W pewnej chwili rozległ się warkot helikoptera. To był dla mnie szok. A więc już tu są! Ogarnął mnie jakiś gorączkowy pośpiech. Wtedy usłyszałem głos pangolina:

- Idź po inspektora.

Podczas gdy biegłem, cały czas myślałem o słowach halavakumy. Pewnie ma jakiś plan. Być może zbierze siły z tego oraz innych światów i rozpęta totalną burzę. Grad i pioruny posypią się na fortecę.

W czasie tych strasznych wydarzeń będę musiał tylko stosować się do jego instrukcji.

- Ty sterujesz łodzią, ja kieruję huraganem.

Łódź? Jaka łódź? Może to tylko przenośnia, bez żadnego ukrytego sensu. Ale pangolin zamilkł. Wpadłem do pokoju Izidine'a i zawołałem:

- Szybko, za mną! Oni już tu są!

Mężczyzna zgłupiał na mój widok i spytał nieufnie:

- Kim ty jesteś?

Nie miałem czasu ani możliwości, żeby się tłumaczyć. Krzyknąłem rozkazująco, żeby biegł za mną. Policjant przez chwilę się wahał. Ale spojrzał w niebo i dostrzegł nadciągające niebezpieczeństwo. Pośpiesznie ruszył moim śladem. Biegliśmy w stronę plaży. Helikopter, niczym sęp, podążał naszym tropem. Zaprowadziłem Izidine'a na skały, gdzie mogliśmy się skutecznie ukryć. Gdy usadowiliśmy się na piasku w skalnym załomie, zacząłem się nad sobą zastanawiać i zdumiałem się. Odkryłem, że całe moje życie było jedną wielką pomyłką. Okazałem się zwyyczajnym tchórzem. Kiedy był czas walki o kraj, odmówiłem udziału. Przybijałem deski, podczas gdy inni

136  
budowali naród. Kochałem się ze zjawą, podczas gdy inni płodzili dzieci. Za życia chowałem głowę w piasek. Po śmierci ukryłem się w żywym człowieku. Moje życie, to realne, było zakłamane. Natomiast śmierć okazała się tak prawdziwa, że w nią nie uwierzyłem. To ostatni moment, aby zawrócić czas. Trzeba zbudować świat, w którym człowiek, tylko z tej racji, że żyje, będzie szanowany. Czyż pangolin nie mówi, że każda istota jest tak wiekowa jak samo życie?

Moje rozmyślenia zniecka przerwała burza. Czegoś takiego świat nie widział. Całe niebo stanęło w płomieniach, paliły się chmury, zrobiło się gorąco jak w piecu. Nagle zapalił się helikopter. Po chwili urwało mu się śmigło i zaczął spadać chwiejnie, niczym płonące kartki papieru, które to unoszą się, to opadają. Maszyna, cała w płomieniach, rozbiła się na dachu kaplicy. Zapadła się tam, gdzie wrzucono broń. Fortecą wstrząsnęła straszna eksplozja, jakby świat wyleciał w powietrze. Zwały czarnych chmur zasnuły niebo. Po jakimś czasie kłęby dymu zaczęły się rozwiewać. Gdy się trochę przejaśniło, z owego bezdennego składowiska wyleciały tysiące jaskółek, od



których rozmigotał się nieboskłon. Ptaki śmigały nad naszymi głowami i rozpierzchały się, szybując ponad błękitnymi pagórkami fal. W jednej chwili niebu wyrosły skrzydła i uleciało daleko od świata.

Na plaży pojawiła się grupa staruszków. Szli w naszą stronę, podpierając się nawzajem. Za nimi kroczyła Marta. Izidine Nafta zasugerował, żebym ruszył im na pomoc. Nie mogłem tego zrobić. Xipoco we własnej cielesnej postaci nie może dotknąć żywego człowieka, bo zadałby mu śmierć.

137

Wszyscy, to znaczy staruszkowie, Marta, Izidine i ja, zebraliśmy się pod pomostem, będącym pozostałością mola, które budowałem za życia. Drewniane pokrycie było jeszcze mocne i chroniło nas przed ognistym deszczem iskier. Budowla, pierwotnie zaplanowana jako miejsce kaźni więźniów, teraz posłużyła za schronienie moim żyjącym towarzyszom.

Niebo stopniowo się przecierało, aż wreszcie stało się tak przejrzyste, że można było dojrzeć inne firmamenty, daleko poza tym niebieskim. Kiedy wreszcie wszystko się uspokoiło, zapadła taka cisza, jakby ziemia zaniemówiła.

— Widzieliście helikopter? — spytał podniecony Izidine.

— Jaki helikopter?

Czarownica wybuchnęła śmiechem. Policjantowi tylko zdawało się, że widzi helikopter, bo w istocie była to bu rzowa kobra, wamulambo. Wszyscy się roześmiali. Nao zinha zarządziła powrót do fortecy. Ruszyła przodem przecierając drogę przez miejsca dotknięte pożarem. Nie mogłem wyjść ze zdumienia - w miarę jak szliśmy, ruiny zamieniały się w nienaruszone mury, budynki wznosiły się nietknięte. Czyżby więc pożary i wybuchy, które widziałem na własne oczy, były tylko złudzeniem? Jednak wśród tego, co się zachowało, był jeden dowód świadczą

cy, że zawierucha naprawdę miała miejsce i że przeszła tędy śmierć. Chodzi o uroczyn. Został po nim tylko po kracznym szkielet, zwęglone gałęzie obejmujące nicosć Pień, liście i kwiaty obróciły się w popiół. Staruszkowie wchodzący na taras starali się nie deptać spalonych resztek. Xidimingo nie mógł w to uwierzyć:

— To drzewo jest martwe?

138

Widok powalonego śmiercią drzewa przypomni mi mój własny zgon. Najwyższy czas, żeby znów stać się duchem. Pomachałem smutno staruszkom. Pożegnałem się ze światłem, z głosami, z rosą. Zacząłem zagłębiać się w piasek, byłem gotów zgasnąć na wieki. Ale w pewnej chwili zawahałem się. Droga powrotna powinna chyba być inna. Ziemia już mnie nie przyjmuje. Stałem się obcym w królestwie śmierci. Ostateczną granicę mogę teraz przekroczyć tylko potajemnie. Ale jak powtórnie stać się nieboszczykiem ?

Przypomniały mi się nauki pangolina. Drzewo jest miejscem cudów. Opuściłem więc swoje ciało, dotknąłem popiołu, a ten zamienił się w płatki. Pogrzebałem w resztkach pnia, aż trysnęły z nich soki, niczym nasienie ziemi. Przy każdym moim ruchu uroczyn odżywał. Kiedy drzewo odrodziło się w całej krasie, posypałem się popiołem, który został po jego spaleniu. W ten sposób przysposabiałem się do bycia rośliną drzewiastą. Kiedy czekałem na ostateczną przemianę, zatrzymał mnie słabiutki głosik:

- Zaczekaj, bracie, idę z tobą.

To był Navaia Caetano, dziecko-starzec. Stał oparty o pień. Czas pozbawił go już ciała i naturalnych kolorów życia. Powtórzył swoją prośbę:

- Bracie, proszę cię!

Nazwał mnie bratem. Staruszek uwierzył mi jako człowieka, nie obwiniał za to, że za życia nie byłem inny. Wyciągnął do mnie rękę i poprosił:

- Dotknij mnie, proszę. Ja też chcę odejść...

Wzięłem go za rękę. Wtedy zobaczyłem, że ma przewieszoną przez plecy obręcz, którą zawsze się bawił. Poprosiłem, żeby ją zostawił, bo tam nie wolno wносить meta-  
139

lu. Na co rozległ się głos pangolina, który sprostował moje słowa:

— Pozwól mu zabrać zabawkę. Ten przypadek jest inny niż twój...

Navaia ucieszył się jak prawdziwe dziecko. Ścisnął mi rękę i obydwaj zaczęliśmy wchodzić w swoje cienie.

W ostatniej chwili, zanim moje ciało do szczytu zniknęło, zdążyłem zobaczyć, że pozostali staruszkowie podążali za nami, zagłębiając się w uroczyn. Dosłyszałem jeszcze daleki głos Ernestiny kołyszącej do snu dziecko. Po tamtej stronie, na powierzchni światła, zostali tylko Marta Gimo i Izidine Nafta. Ich obraz coraz bardziej się rozpląwał, aż wreszcie została z nich tylko podwójna kryształowa smuga, krótkotrwałe lśnienie jutrzeńki.

Stopniowo zapominam język ludzi, przesiąkam mową ziemi. Na świetlistym tarasie zostawiam swój ostatni błogo śniony sen — drzewo uroczynu. Zaczynam dźwięczeć jak kamień. Starszy niż ziemia, układam się do snu. Od-tąd będę spać spokojniej niż śmierć.

## Spis treści

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sen nieboszczyka..... 7

### ROZDZIAŁ DRUGI

Debiut wśród żywych..... 17

### ROZDZIAŁ TRZECI

Zeznanie Navai..... 23

### ROZDZIAŁ CZWARTY

Drugi dzień wśród żywych..... 37

### ROZDZIAŁ PIĄTY

Zeznanie starego Portugalczyka.....	43
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Trzeci dzień wśród żywych.....	53
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
Zeznanie Nhonhosa.....	58
ROZDZIAŁ ÓSMY	
Czwarty dzień wśród żywych.....	69
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
Zeznanie Naozinhi.....	74
141	
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	
Piąty dzień wśród żywych.....	89
ROZDZIAŁ JEDENASTY	
List Ernestiny.....	96
ROZDZIAŁ DWUNASTY	
Z powrotem w niebie.....	109
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	
Zeznanie Marty.....	116
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	
Objawienie.....	128
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	
Ostatni sen.....	135

Ta powieść kryminalna, utrzymana w konwencji realizmu magicznego, jest pamiętnikiem z za grobu, bo jej narrator i główny bohater to nieboszczyk, Ermelindo Mucanga, który po tajemniczej śmierci i niezgodnym z tradycją pochówku stał się zbłąkanym duchem. Przez dwadzieścia lat tkwił w grobie na dziedzińcu kolonialnej portugalskiej fortecy zamienionej na przytułek dla starców. Ale gdy

zostaje zamordowany dyrektor  
tej instytucji, Ermelindo postanawia  
wrócić do świata żywych jako  
sublokator w ciele inspektora  
policji mającego wykryć sprawcę  
zabójstwa...

Lemur

[www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl)